



WSPÓLNOTA W MISJI

biuletyn Wspólnoty Życia Chrześcijańskiego w Polsce

Nr 50

czerwiec 2000

Warszawa

„Każde stworzenie może w swojej skończoności odzwierciedlić tylko część istoty Boskiej, w różnorodności zaś stworzeń zdaje się odbijać – w pełni różnorodnych promieni – nieskończona jedność i prostota Boga. Podobnie też, choć w różny sposób, odbija Boga właściwość męska i kobieca. Augustyn i Tomasz oraz oparta na nich tradycja upatrywały w duchu ludzkim obraz Trójcy. Pojmowano to różnie, lecz przede wszystkim podkreślano, że byt, poznanie i miłość odtwarza Ojca, Syna i Ducha. W Synu osobą stała się Mądrość, w Duchu Miłość; w naturze męskiej przeważa rozum, w naturze kobiecej zaś serce, przeto właśnie kobieta łączy się szczególnie z Duchem Świętym. Duch Święty jest Bogiem i kiedy wychodzi z siebie, aby wejść w stworzenia, możemy jego twórczą i doskonałą Płodność Boga zauważyć w przeznaczeniu kobiety jako matki żyjących; jej życie rodzi nowe życie, a gdy osiągnie ono już byt samodzielny, matka ma mu pomagać do możliwie najpełniejszego rozwoju. Duch Święty jest Pocieszycielem i Wspomożycielem, który leczy co zranione, rozgrzewa skostniałe, obmywa skażone, jest Ojcem ubogich i Dawcą łask. W całej tej działalności przejawia kobiecą miłość i litość.”

Edyta Stein
(św. Teresa Benedykta od Krzyża)

W NUMERZE:

TAJEMNICA TRÓJJEDYNEGO	2
WYWIAD Z O. RYSZARDEM FRIEDRICHEM	6
MIEŁOŚĆ MOJA NIE ODSTĄPI OD CIEBIE	10
PIELGRZYMKA JUBILEUSZOWA WZCH W POLSCE	21
POJEDNANIE I PRZEBACZENIE	21
SZKOŁA ANIMATORA	18
„DZIECI CZY MACIE CO NA POSIŁEK?”	23
MAŁPIA PYCHA	24
PONIDZIE WIOSNNE	25
II OGÓLNOPOLSKI KONGRES RUCHÓW I STOWARZYSZEŃ KATOLICKICH	27



Przedstawienie Najświętszej Trójcy z kościoła w Urschalling

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Wasze ręce szczególne wydanie biuletynu. Zamieszczamy w nim bowiem niezwykle świadectwo. Joanna Grodzicka, u której zdiagnozowano SM przez kilkanaście lat poruszała się na wózku inwalidzkim albo leżała całkowicie unieruchomiona. Mimo to prowadziła bardzo czynne życie, w którym znalazło się miejsce na pracę w PTSR i udział w WZCh, a przede wszystkim miejsce na rozwijanie i pogłębianie więzi z Bogiem.

W grudniu 1998 roku w czasie nowenny o uzdrowienie Joanna całkowicie odzyskała władzę w nogach. We wrześniu 1999 roku wstąpiła do Klasztoru Karmelitanek w Łasinie. Jej opowieść jest świadectwem duchowej wolności i ogromnego zawierzenia Bogu. Świadectwo o Joannie składa też Kasia Czarnecka ze wspólnoty „św. Józef”.

TAJEMNICA TRÓJJEDYNEGO

W Niedzielę Trójcy Świętej, raz do roku, pojawiał się w dawnym rzymskim brewiarzu Symbol (tj. wyznanie wiary) *Quioumque* („Ktokolwiek” – pierwsze słowo tekstu), nazywany tradycyjnie symbolem św. Atanazego. Warto i dzisiaj przypomnieć kilka zdań poświęconych w nim tajemnicy naszego Boga.

TEOLOGICZNY ZAWRÓT GŁOWY

„Nieskończony jest Ojciec, nieskończony Syn, nieskończony Duch Święty; wiekuisty jest Ojciec, wiekuisty jest Syn, wiekuisty jest Duch Święty – nie trzech jednak wiekuiści, ani trzech nieskończeni, lecz jeden Wiekuisty, jeden Nieskończony. Podobnie wszechmocny jest Ojciec, wszechmocny Syn, wszechmocny Duch Święty – nie trzech jednak wszechmocni, lecz jeden wszechmocny”. Słowa te w pierwszej chwili budzą w nas czasem pewne zdziwienie, wszystko się wszakże wyjaśnia, gdy czytamy dalej: „Podobnie Bogiem jest Ojciec, Bogiem jest Syn, Bogiem jest Duch Święty – nie trzech jednak bogowie, lecz jeden Bóg”. Nie mamy wątpliwości, że Bóg jest jeden, wierzymy, że jest jeden w trzech Osobach, ale najwyraźniej załamujemy się już przed progiem tajemnicy. Wydaje się nam ona na ogół czymś, czego lepiej nie tykać, bo i tak nic nie da się zrozumieć, a wgłębiając się w nią za bardzo można łatwo dostać zawrotu głowy i nawet, kto wie, czy nie stracić wiary. A zatem najczęściej przemilczamy ją zgodnie – i wierni, i duszpasterze – ze spokojnym sumieniem pozostawiając wszystko uczonym specjalistom, teologom i filozofom. Czyżbyśmy zapomnieli, że Jezus słaui Ojca właśnie za to, że objawił swoją prawdę ludziom przypominającym małe dzieci, prostym i nieuczonym (Mt 11, 25; Łk 10, 21)?

Nie da się zaprzeczyć, że przez długie wieki tajemnica Trójcy Świętej, rozważana w oderwaniu od chrystologii i historii zbawienia, pozostawała, niemal wyłącznie przedmiotem abstrakcyjnych spekulacji. Stopniowo też wytworzyło się przekonanie, że nie może ona mieć związku ze zwyczajnym ludzkim życiem ani z naszą modlitwą. A tymczasem jest to podstawowa tajemnica chrześcijaństwa, odróżniająca je w sposób zasadniczy od innych wielkich religii monoteistycznych, takich jak islam czy judaizm. Jeżeli więc rezygnujemy z niej tak łatwo, odkładając dla wygody niejako „na bok”, należałoby się może zastanowić, czy nadal jesteśmy jeszcze w pełni chrześcijanami?

Ktoś mógłby tutaj zapytać: po co? Jest to przecież tajemnica zupełnie niepojęta. Z tym musimy się po prostu pogodzić: Bóg jest niepojęty. Jak pisał św. Augustyn: „Mówimy o Bogu. Cóż dziwnego, że nie rozumiesz? Jeśli rozumiesz, nie jest to z pewnością Bóg!” I cokolwiek byśmy wymyślili, bez względu na to, jak długo, jak subtelnie i błyskotliwie będziemy rozważać prawdy Boże, tajemnica pozostanie do końca tajemnicą. Po co zatem zgłębiać to, co już w założeniu niemożliwe jest do zgłębienia? Można by na to odpowiedzieć, że istnieje niemała różnica pomiędzy zgłębieniem a zgłębianiem i że eksploatacja oceanu bywa często owocna także i tam, gdzie dna jego nie sięga. Przede wszystkim jest chyba jednak jakąś nieuprzejmością wobec Boga, jeśli odmawiamy uwagi temu, co chcemy o sobie Sam objawić.

BOSKA „NADOSOBOWOŚĆ”

Być może nie odważyłabym się zabrać głosu w tej sprawie, gdyby nie mój stary przyjaciel, nieżyjący już od kilku lat ks. Kazimierz Nielepkowicz. Kiedyś, gdy w rozmowie z nim narzekałam, że nasi kaznodzieje niemal nigdy nie poruszają tego ważnego tematu, poprosił mnie: „Napisz mi homilię o Trójcy Świętej”. Jego prośba zmusiła mnie do zastanowienia, jak należałoby mówić o tej tajemnicy w sposób przystępny, również dla ludzi bez żadnego przygotowania teologicznego, w jaki sposób ukazać im coś z jej niezmiernie doniosłości praktycznej. Homilii tej nigdy nie napisałam, bo mój Przyjaciel umarł, zanim zdążyłam to zrobić. Doszłam jednak do wniosku, że nie jest to całkiem niemożliwe, a w każdym bądź razie, że warto spróbować.

Zastanawiając się wówczas od czego najlepiej by zacząć, zrozumiałam, że zacząć należy od początku. Wbrew pozorom nie jest to wcale oczywiste. Rozważając tajemnicę Trójcy Świętej, zwykliśmy na ogół zaczynać od końca, to znaczy od formuły dogmatu, która stanowi kres długiego, bo trwającego mniej więcej trzy wieki procesu dojrzewania myśli religijnej młodego chrześcijaństwa. Okrzepta ona ostatecznie dopiero w IV w., lecz dla nas i ta data jest bardzo odległa. Toteż kiedy mówimy, że Bóg jest jeden w trzech Osobach, powinniśmy zawsze pamiętać, że słowo „osoba” ma tu inne znaczenie niż dzisiaj. Zwracał na to uwagę już Kalwin w XVI w., kiedy pisał: „Dawni uczeni posłużyli się tym słowem osoba i powiedzieli, że w Bogu są trzy Osoby, lecz jest to zupełnie co innego, niż kiedy my mówimy w naszym języku codziennym, nazywając trzech ludzi trzema osobami”.

Spostrzeżenie to jest również i dzisiaj bardzo istotne. Błędne pojmowanie słowa „osoba” prowadzi do nieporozumień, najczęściej nieuświadomianych i dlatego tym niebezpieczniejszych. Osoba to dla nas (jak i dla Kalwina) w gruncie rzeczy tyle, co człowiek. Tak więc zdanie: „w Bogu są trzy Osoby” (nie całkiem ściśle, lecz nieraz spotykane sformułowanie dogmatu) odbieramy poza kontrolą świadomości, trochę tak, jakbyśmy usłyszeli: „w pokoju są trzy osoby”. Gorzej jeszcze z formułą dogmatu w jej prawidłowym brzmieniu: „Bóg jest jeden w trzech Osobach”. Wierzymy przecież, że Bóg jest Bytem osobowym, Osobą. Zdanie to może zatem wywołać takie wrażenie, jakby ktoś powiedział: „jedna osoba w trzech osobach”, co jest oczywistą sprzecznością.

Jak więc należy rozumieć słowo „osoba” w dogmatyce Trójcy Świętej? Na razie niechaj wystarczy stwierdzenie, że autorzy formuły chcieli tym słowem przede wszystkim podkreślić w jedności Boga niezaprzeczną odrębność Ojca, Syna i Ducha Świętego: Ojciec nie jest Synem ani Duchem, Syn nie jest Duchem ani Ojcem, Duch nie jest Ojcem ani Synem.

Istnieje jeszcze inne niebezpieczeństwo: teologowie mówią o jednej naturze Boga i trzech Osobach. Łatwo sobie zatem wyobrazić, że Jedność jest pierwotna i odwieczna, Osoby zaś niejako wtórne i z niej zrodzone. Tymczasem jest to znowu tylko nieudana próba zrozumienia po ludzku tajemnicy zawsze do końca niepojętej. Sprawa przedstawia się znacz-

nie prościej: Naturą naszego Boga jest być Ojcem i Synem, i Duchem Świętym.[2]

Ludziom dalekim od chrześcijaństwa wydaje się nieraz, że mówienie o Bogu osobowym jest antropomorfizacją, upodobnieniem Boga do człowieka. Nie wiedzą przy tym na ogół, że filozoficzne pojęcie osoby narodziło się właśnie z dogmatu Trójcy Świętej. Nie to jest jednak najważniejsze. W rzeczywistości, upatrując Boga w jakiejś sile bezosobowej, ściągają Go nieświadomie poniżej poziomu człowieka. A przecież nie ulega wątpliwości, że szukać Go można tylko nieskończenie wyżej. Ojciec, Syn i Duch Święty nie są osobami „na sposób ludzki”. Chciałoby się wprost powiedzieć, że tajemnica Trójcy jest niejako tajemnicą „nadosobowości” Boga.

JEDEN, ALE NIE SAMOTNY

W Piśmie Świętym jest wiele imion Boga, lecz Trójcy wśród nich nie znajdziemy. Jest to termin teologiczny określający właściwy chrześcijanom monoteizm. W Ewangelii Jezus nie każe swoim uczniom udzielać chrztu „w imię Trójcy Świętej”, lecz „w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego” (Mt 28, 19), przy czym rzeczownik „imię” pojawia się tylko raz i to w liczbie pojedynczej. Mówiąc o Bogu, autorzy Nowego Testamentu nigdy nie liczą. I dla nich również Bożą liczbą jest tylko „jeden”: jeden Bóg, jeden Pan, jeden Duch. Nie ma tu nigdzie dodawania ani żadnych innych działań arytmetycznych. Kiedy Pismo Święte mówi „jeden” o Bogu, nie jest to ani pierwsza z serii liczb, ani w ogóle liczba, lecz właśnie zaprzeczenie liczby. Innymi słowy „jeden” znaczy tyle, co „jedyny”, a nie można dodawać do siebie trzech „jedynych”. My zaś często to właśnie próbujemy robić. Nawykliśmy liczyć w Bogu osoby, zapominając, że jest On poza wszelkimi kategoriami, w tym także poza kategorią liczby. Trójca Święta to nie matematyczna zagadka, w jaki sposób trzy może równać się jeden, lecz tajemnica radości naszego Boga, który jest jeden, a nie jest samotny.

Jeśli chcemy choć trochę zbliżyć się do zrozumienia, co to wszystko znaczy, musimy, jak już powiedziałam, zacząć od początku. Stańmy więc pośród uczniów Jezusa wnet po Pięćdziesiątnicy i próbujmy razem z nimi – w świetle Zmartwychwstania, jak również i tego, co Bóg wcześniej objawił Izraelowi – odczytać na nowo sens śmierci, życia, nauki naszego Mistrza, sens całej historii Boga-z-nami.

Nowego Testamentu wówczas jeszcze nie było, a w Biblii hebrajskiej (czy w jej greckim przekładzie) nie znajdziemy wyraźnego objawienia Trójcy Świętej, co nie znaczy zresztą wcale, że go tam w ogóle nie ma. Od samego początku, od najstarszych tradycji biblijnych Bóg jest zawsze dla człowieka, czego ludzki rozum, pozostawiony sam sobie, nie potrafi pogodzić z pojęciem Absolutu. Filozofowie greccy wcześniej do tego pojęcia doszli. Absolut jest dla nich spoczywającym w sobie boskim bytem doskonałym, który niczego nie potrzebuje, a zarazem niczego nie kocha. Jest jednością statyczną, zamkniętą w sobie, bez odniesienia do świata. Jak pisze Etienne Gilson: „Filozofia nie wie nic zgoła o istnieniu Boga Biblii. Wie ona wprawdzie, że jakiś bóg istnieje, lecz żadna filozofia nie może nawet przeczuwać istnienia takiego Boga”. Zdanie to znajduje, jak sądzę, potwierdzenie w słowach Leszka Kołakowskiego: „Z chrześcijańskiego punktu widzenia pojęcie historycznego Boga wydaje się wewnętrznie sprzeczne, gdyż Absolut jest na mocy definicji ontyczną pełnią, której niczego nie brakuje, która ni-

czego nie pragnie i jest niewzruszona. (...) W tym punkcie jednak Bóg chrześcijański nigdy nie był wolny od niejasności; jest On nade wszystko Bogiem miłości, a miłość wymaga dwojga, by mogła istnieć”. Jest to uwaga niezmiernie interesująca i dziwić się tylko trochę można, że ów wielki myśliciel (który mimo swej laickiej postawy tak dużo rozumie z chrześcijaństwa) nie dostrzega tutaj, że „z chrześcijańskiego punktu widzenia” sprzeczność ta znajduje swe rozwiązanie w tajemnicy Boga Trójjedynego.

Tajemnicę tę objawił nam w pełni dopiero Jezus Chrystus. A w objawieniu tym chodzi nie tyle o informację, kim Bóg jest sam w sobie, ile raczej o coś nieporównanie wspanialszego: o zaproszenie. Jezus naucza, kim Bóg jest dla nas i zaprasza do uczestnictwa we własnym życiu tego Boga.

TANIEC NIESKOŃCZONEJ MIŁOŚCI

„Naucz” – to nie znaczy jedynie „mówi”. Chrystus sam jest objawieniem doskonałym. Nie tylko każde Jego słowo, lecz także każdy Jego krok, każdy gest, wszystko, co czyni, co cierpi i jak przyjmuje, należy do tej nauki. „Jeżeli chcemy wniknąć w tajemnicę Boga, Chrystus jest jedyną drogą. Nie jest On tylko częścią tej drogi, poza którą moglibyśmy wznieść się wyżej, by odnaleźć Boga w sposób głębszy, by wypracować sobie Jego obraz bardziej zrozumiały lub pojęcie lepiej odpowiadające prawdzie. Chrystus jest drogą i pozostanie nią zawsze”. [3]

Uczniowie Jezusa nawet i po Pięćdziesiątnicy niewiele jeszcze z tego wszystkiego pojmowali. Nie zdajemy sobie na ogół sprawy, jak bardzo było im trudno, z jakim wysiłkiem przebijali się do głębszego i prawdziwszego zrozumienia. Ich Mistrz nie wygłosił im wykładu o tajemnicy Trójcy Świętej, a nie uczynił tego, ponieważ i tak by nic to nie dało. Jako synowie Izraela byli nieugiętymi monoteistami. Wiedzieli teraz tylko, że ich Bóg, Bóg jedyny, Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, jest w jakiś niepojęty sposób Ojcem, Synem i Duchem. Odczytywali z zapamiętanych słów Jezusa wyjątkowość i wyłączność relacji, jaka tylko Jego jednego łączyła z Ojcem, poznawali z własnego doświadczenia Ducha, który zgodnie z Jezusową zapowiedzią „wprowadzał ich w całą prawdę” (J 16, 13). Myślę jednak, że nieraz mieli mimo wszystko ochotę zawołać, jak Filip w czasie Ostatniej Wieczerzy: „Panie, pokaż nam Ojca”. My byśmy też chętnie do tej prośby się przyłączyli. A przecież Jezus odpowiedział na nią z wyraźnym wyrzutem: „Tyle czasu z wami jestem i jeszcze Mnie nie poznałeś, Filipie? Kto Mnie widzi, widzi i Ojca”, Tutaj chciałoby się wprost zawołać, że już naprawdę niczego nie rozumiemy... Ale Jezus mówi dalej: „Jak to się dzieje, że prosisz: pokaż mi Ojca? Czyż nie wierzysz, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie?” (J 14, 8-10).

„Ja w Ojcu, a Ojciec we Mnie” – podobne słowa powtarzają się parokrotnie (por. J 10, 38; 14, 11. 20; 17, 21. 23). Co wła-



ściwie Jezus chce przez to powiedzieć? Może zrozumienie tych słów ułatwi nieco jedno zdanie z Modlitwy Arcykapłańskiej, kiedy to woła On do Ojca: „Wszystko, co moje, Twoje jest, a co Twoje, moje” (J 17, 10). „Wszystko, co moje” znaczy tu nie tylko: „wszystko, co mam”. lecz również: „wszystko, czym jestem,..” Taka wspólnota życia i miłości nazywa się po grecku *koinonia*, po łacinie *communio*, po polsku nie ma innego słowa niż „komunia” i zobaczymy za chwilę, że choć w naszym języku znaczenie się nieco zawężyło, istota rzeczy nie uległa zmianie. I dlatego możemy mówić o komunii jako o takiej wspólnotcie osób, gdzie „wszystko, co moje, twoje jest, a co twoje, moje”.

„Bóg jest miłością” – pisze św. Jan w swoim Pierwszym Liście. „Ten, kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka, a Bóg w nim” (1J 4, 16). Wielu z nas te słowa wydają się piękną muzyką, bez żadnego odniesienia praktycznego. Utożsamiamy bowiem miłość z porywem uczucia, ono zaś wprawdzie może nam bardzo pomóc w kochaniu, lecz nie stanowi istoty miłości. Miłość jest otwarciem na drugiego. O. Francois Varillon powiedział gdzieś, że kochać, to nie znaczy brać, lecz przyjmować i dawać. Przyjmować to, co nam dają, i Tego, kto do nas przychodzi (jeśli to człowiek, przychodzi w nim zawsze także Bóg), a dawać wszystko i siebie samego również. Taka jest droga Jezusa. „Będąc objawieniem miłości Ojca w życiu człowieka, mógł On nadać swojemu istnieniu jedną tylko formę: istnienia oddanego bez reszty miłości innych, miłości idącej aż do końca (J 13, 11)”. [4]

A ponieważ wiedział, jak bardzo jesteśmy w tych sprawach niepojętni, powracał do nich wielokrotnie i na różne sposoby. W wielkiej mowie o Chlebie Życia czytamy: „Kto pożywa ciało moje i pije krew moją, we Mnie mieszka, a Ja w nim”. Odnajdujemy znowu ten sam motyw, wzajemnego otwarcia: on we Mnie, a Ja w nim. Następne zaś zdanie objaśnia, jak to

i „dla Ojca”, doskonałym przyjęciem i oddaniem. W swoim życiu człowieczym jest Jezus zawsze Tym, kim jest od wieczności, objawiając nam w ten sposób tajemnicę Ojca, Syna i Ducha, tajemnicę Boga Trójjedynego. Dlatego to może mówić, że Ojciec jest w Nim, a On w Ojcu. A jeżeli my będziemy żyć podobnie jak On, przez Niego i dla Niego, wówczas i my również zostaniemy wciągnięci w to Świątę, w ten Taniec Nieskończonej Miłości. Bóg stworzył nas przeciw „na swój obraz, stworzył mężczyznę i kobietę”, abyśmy całym naszym człowieczeństwem, całym naszym psychofizycznym „ja”, tęsknili i dążyli nawet podświadomie do tego nieustannego „przyjmowania i dawania”, które jest odwieczną radością Trójjedynego Boga.

CAŁKOWITY DAR Z SIEBIE

Może teraz nieco lepiej zrozumiemy, o co Jezus prosi Ojca, kiedy się modli: „aby wszyscy byli jednym, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni w Nas byli! A wówczas świat uwierzy, że Ty Mnie posłałeś. Ja zaś chwale, którą Mi dałeś, dałem im, aby byli jednym, jak My jednym jesteśmy. Ja w nich, a Ty we Mnie, żeby byli doskonali w jedności i żeby świat poznał, iż Ty Mnie posłałeś i umiłowałeś ich, jak Mnie umiłowałeś” (J 17, 21-23). Konstytucja soborowa o Kościele w świecie współczesnym powołuje się na te słowa Jezusa, wskazując, że wzorem jedności dla wspólnoty ludzkiej jest jedność samej Trójcy Świętej. A jeśli w świecie jest ciągle tyle zła i niewiary, czy to nie dlatego, że nadal jeszcze bardzo daleko jesteśmy od tego wzoru?

My tymczasem tak często i tak niemądrze skłonni jesteśmy uważać, że dając możemy coś stracić, albo że ponizamy się przyjmując. Pragniemy być samodzielni i niezależni, całkiem zapominając o przestrodze Jezusa, że kto za wszelką ce-



się stać może: „Jako mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca i dla Ojca, tak i ten, kto Mnie pożywa, żyć będzie przeze Mnie i dla Mnie” (J 6, 55-57). Nasze przekłady piszą zazwyczaj „przez Ojca” i „przez Mnie”, lecz użyte tu małe greckie słówko „*dia*” znaczy zarówno „przez”, jak i „dla”.

Dla Jezusa wola Ojca jest „pokarmem..” (J 4, 34), źródłem siły i samego istnienia nawet. W każdej chwili żyje On tym, co Mu Ojciec daje i czego Ojciec od Niego oczekuje – żyje „przez Ojca”, a w każdej chwili też – do ostatniego tchnienia na Krzyżu i dobrowolnie przyjętej okrutnej ludzkiej śmierci – jest cały bez reszty „dla Ojca”. Nazbyt też często widzimy w tej śmierci jedynie cierpienie (zupełnie tak, jakby Ojciec mógł się lubować cierpieniem Syna!). A tymczasem jest ona przede wszystkim wyrazem miłości, owym „przez Ojca”

nę chce „zachować życie”, ten je łatwo może „stracić” czy zmarnować (por. Mt 10, 38; 16, 25; Mk 8, 35; Łk 17, 33; J 12, 25). Nie na darmo przecież w tym samym rozdziale (24) tej-że Konstytucji Sobór nam przypomina, że człowiek staje się w pełni człowiekiem tylko przez całkowity dar z siebie.

Absolut filozofów nie jest osobą. Osoba może istnieć jedynie wtedy, gdy się na kogoś otwiera, gdy żyje relacjami łączącymi ją z innymi. Dobrym przykładem może tu być zwykły przedział kolejowy. Siedzi w nim kilku ludzi, każdy zajęty sobą i w sobie zamknięty. Są obecni, lecz tylko w taki sposób, jak ich bagaże. Wystarczy jednak, by coś się wydarzyło, żeby na przykład ktoś zasnął. I oto nagle pasażerowie zwracają się ku sobie, ich obecność zmienia swój charakter, staje się obecnością żywą, osobową. Jeżeli zaś takie otwarcie na drugiego po-

zwala nam stać się pełniej osobą, prawdziwiej człowiekiem, czym może być otwarcie się na Trójjedynego, który jest Absolutem, lecz – odmiennie od Boga filozofów – Absolutem Miłości, Jednością dynamiczną Ojca, Syna i Ducha, odwiecznym nieskończonym Przyjmowaniem i Dawaniem? Przez całe życie musimy się tego właśnie uczyć, otwierając się na naszych braci. Nieraz zastanawiamy się, jak można kochać człowieka, jeśli wydaje się nam on niesympatyczny. Wystarczy jednak zrozumieć, o co naprawdę chodzi i po prostu spróbować najpierw go przyjąć, ale przyjąć naprawdę, a potem naprawdę dać mu siebie. Takie codzienne, niekiedy trudne, często nieudane przyjmowanie i dawanie jest zarazem naszym praktycznym wchodzeniem w życie Trójjedynego. I oto widzimy, jak przykazanie miłości bliźniego wypływa z tajemnicy Trójcy i jednocześnie w nią nas właśnie wprowadza. A uczy nas tego nie kto inny, lecz sam Duch Święty, w którym wołamy do Boga: *Abba*, Ojczy. On to przecież jest w Trójcy owym osobowym Przyjmowaniem i Dawaniem, jest w Niej Komunią.

Tutaj warto przypomnieć, że kiedy kapłan na początku Mszy św. mówi nam: „*Miłość Boga Ojca, łaska Pana Jezusa Chrystusa i dar jedności w Duchu Świętym niech będzie z wami wszystkimi*”, powtarza zmieniając nieco kolejność słów, ostatnie zdanie z Drugiego Listu św. Pawła do Koryntian (2 Kor 13, 13). Dosłownie brzmi ono jednak: „*Łaska Pana Jezusa Chrystusa, miłość Boga i komunია Ducha Świętego niech będzie z wami wszystkimi*”. Jeśli nawet można uznać za słuszne zastąpienie trudnego dla wielu do zrozumienia słowa „komunia”, przez jego niezupełnie dokładny odpowiednik: „dar jedności”, jest to wszakże na pewno nie tylko „dar jedności w Duchu Świętym”, lecz i dar Ducha Świętego, tegoż Ducha, który jest sam Jednością Jedynego.

Św. Paweł życzy Koryntianom tego, co przywykliśmy nazywać zbawieniem. Zbawienie jest bowiem właśnie komunią, a „*Chrystus umarł po to, by wprowadzić ludzi w komunię Ducha Świętego*”, (zob. Fr. -X. Durwell, dz. cyt.), w tę przedziwną wspólnotę życia i miłości Boga samego, gdzie każdy może powiedzieć o sobie: „*wszystko, co moje, Twoje jest, i co Twoje, moje*” (J 17, 10).

Kiedy myślimy o szczęściu wiecznym, wyobrażamy je sobie najczęściej jako „wizję uszczęśliwiająca”, jako spotkanie z Bogiem twarzą w twarz. I jest to wyobrażenie słuszne. Św. Jan w swoim Pierwszym Liście mówi, że choć już teraz jesteśmy dziećmi Boga, „*nie ujawniło się jeszcze, czym będziemy. Wiemy, że gdy się ujawni, będziemy do Niego podobni, bo ujrzemy Go takim, jakim jest*” (1J 3, 2). A wtóruje mu św. Paweł: „*Teraz widzimy jakby w zwierciadle, wtedy zaś twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany*” [przez Boga] (1 Kor 13, 12).

WEZWANI NA UCZTĘ BARANKA

W myśli biblijnej poznanie nie jest poznaniem czysto intelektualnym, nie sprowadza się do wiedzy. „Poznać” Boga, to uczestniczyć w Jego życiu, w tajemnicy Ojca, Syna i Ducha Świętego. I tu przychodzi nam z pomocą inny obraz z Pisma Świętego. Już autorzy Biblii hebrajskiej zapowiadają nieraz jakąś wielką ucztę eschatologiczną, ucztę zbawienia, widząc w niej ostateczne dopełnienie Przymierza. Wzmianki o takiej uczcie znajdujemy też w Nowym Testamencie, choć często nie zwracamy na nie uwagi. Oto na przykład Jezus, pełen po-

dziwu dla wiary pogańskiego setnika, woła: „*Powiadam wam, że wielu przyjdzie ze wschodu i zachodu i spoczną przy uczcie w królestwie niebieskim wraz z Abrahamem, Izaakiem i Jakubem*” (Mt 8, 11; por. Łk 12, 29). W Ewangelii zaś św. Łukasza Jezus mówi uczniom przy Ostatniej Wieczerzy: „*Ja przekazuję Wam królestwo, jak Mnie przekazał je Ojciec, abyście w królestwie moim jedli i pili przy moim stole*” (Łk 22, 29-30). Obraz uczty pojawia się również w przypowieściach, a spotykamy się z nim także i w czasie Mszy św., kiedy przystępując do Stołu Pańskiego, słyszymy słowa kapłana: „*Błogosławieni, którzy zostali wezwani na ucztę Baranka*”. Słowa te rozumiemy zazwyczaj jako zaproszenie do udziału w Eucharystii. Mamy rację, lecz nie do końca. Nie spostrzegamy bowiem, że jest to cytat z Pisma Świętego, tym razem z 19 rozdziału Apokalipsy: „*Alleluja, bo zakrólował Pan Bóg nasz wszechmogący. Weselmy się i radujmy, i dajmy Mu chwałę, bo nadeszły Gody Baranka, a Jego Małżonka się przystroiła (...)* Błogosławieni, którzy są wezwani na ucztę Godów Baranka” (Ap 19, 6-7.9). Tak więc naprawdę słyszymy tu zaproszenie na wielką ucztę weselną w królestwie niebieskim i jej to zadatkim jest przyjmowane przez nas Ciało Chrystusa. To, co nazywamy Komunią Świętą, jest Komunią rzeczywistą, a jednocześnie zapowiedzią pełnego już udziału w Komunii Trójjedynego.

Obraz uczty jest szczególnie dobrze dobrany. Może on nam pomóc wniknąć nieco głębiej w tajemnicę samego Boga. Dzisiaj zagubiliśmy już w znacznej mierze sens takiej uczty, sens wspólnego posiłku rodzinnego. Pozostała nam na szczęście jeszcze wieczerza wigilijna. To taki wyjątkowy moment, kiedy wszyscy jesteśmy naprawdę razem, kiedy jesteśmy rzeczywiście otwarci dla siebie wzajemnie, gotowi sobie wzajemnie służyć. Jeżeli ktoś byłby w naszym gronie smutny, lub – co gorzej – nadęty lub zagniewany, jego nastrój odcujemy wszyscy i od razu coś się popsuje. Podobnie – lub jeszcze łatwiej – udziela się wszystkim radość. Taka bowiem wspólna wieczerza to właśnie wzajemne przyjmowanie i dawanie (przyjmowanie i dawanie drobnych prezentów, przyjmowanie podawanych nam smakołyków i przekazywanie ich naszym sąsiadom, przyjmowanie tych, którzy wokół nas siedzą i dawanie im samego siebie). Radość wszystkich jest tu radością każdego, a radość każdego radością wszystkich.

Jest to niezmiernie odległy i bardzo niedoskonały obraz tego, co może oznaczać nasze uczestnictwo w życiu Boga, w owej wieczystej Komunii Ojca i Syna w Duchu Świętym, gdzie radość każdego będzie radością wszystkich (także i samego Boga), a radość wszystkich (także i samego Boga) będzie radością każdego. I to jest właśnie zbawienie. Dojrzejmy zatem do tej Komunii w naszym dniu powszednim. Pozwólmy się prowadzić jako dzieci Boże Duchowi Prawdy (Rz 8, 14), otwierając się wciąż na nowo na nieustanne przyjmowanie i dawanie. Gdy zaś w godzinie śmierci przyjdzie nam spotkać się z Panem, będzie to po prostu najpełniejsze, ostateczne już otwarcie. Obyśmy usłyszeli wówczas z ust Jego: „*Wszystko, co moje, twoje jest, a co twoje, moje*”.

Anna Świderkówna

[1] Nowy Testament cytowany w przekładzie Autorki

[2] Fr. -X. Durwell, *L'Esprit Saint de Dieu*, Paris 1983, s. 162.

[3] B. Rey, *A la decouvert de Dieu. Les origines de foi trinitaire*, Paris 1982, s. 129.

[4] P. Aubin, *Dieu: Pere, Fils, Esprit. Pourquoi les chretiens parlent de Trinite?*, Paris 1975, s. 55

NIE WIDZĘ MOJEJ FUNKCJI ASYSTENTA TAK, ŻE POWINIENEM STEROWAĆ WSPÓLNOTĘ, RZĄDZIĆ

– ASYSTENT NARODOWY WŹCH

O. RYSZARD FRIEDRICH

W ROZMOWIE Z MAŁGORZATĄ GOLANOWSKĄ
I WOJTKIEM MIKOŁUSZKĄ



Wojtek Mikołuszko: Kiedy się ojciec zetknął z duchowością ignacjańską, czy jeszcze przed wstąpieniem do zakonu?

– o. Ryszard Friedrich: Pochodzę z parafii jezuickiej z Gdańska Wrzeszcza, od momentu chrztu zawsze spotykałem jezuitów. Dla mnie ksiądz to był jezuita. Dopiero później uświadomiłem sobie, że nie wszyscy księża są jezuitami.

Małgorzata Golanowska: Czyli nie miał ojciec kłopotu z wyborem zakonu?

– Tak, tego problemu nie miałem. Miałem problem z wyborem, czy być księdzem. Szkoła, potem studia na Politechnice Gdańskiej, na Wydziale Elektrycznym. Dopiero na drugim roku zacząłem myśleć o zakonie. Zacząłem zastanawiać się, czy być księdzem, czy nie. Ale jeśli nim być – to jezuitą, tu nie było żadnego pytania.

W. M. Czy ktoś ojca namawiał, czy zniechęcał do bycia księdzem?

– Nie. Nigdy z jezuitami nie rozmawiałem o powołaniu, o tym, co czuję. W mojej parafii jezuita mieli dobrze działające duszpasterstwo akademickie. Dla uczniów szkół średnich była grupa dyskusyjna, były różne formy wakacji i spotkań w ciągu roku, a ja z tego wszystkiego korzystałem. Jak już prawie zdecydowałem, że wstępuję do zakonu, to poszedłem o tym porozmawiać.

W. M. Jak zareagowali rodzice?

– Spokojnie. Mam starszego brata, więc on się zajął przedłużaniem rodu, ma trójkę dzieci. Mama tylko zadała pytanie, czy to na pewno jasna decyzja.

W.M. Czy rodzina księdza była wierząca?

– Rodzice są wierzący i zawsze otwarcie praktykowali wiarę. Uczestnictwo w niedzielnej Mszy Świętej było dla nich absolutnie na pierwszym miejscu. Pamiętam, jak w czasie wakacji spędzanych pod namiotem jechaliśmy kilkanaście kilometrów, żeby znaleźć kościół. Prowadziliśmy bardzo rodzinne życie. Od najwcześniejszych lat jeździliśmy na wspólne wakacje, najczęściej w góry, w Beskidy, pod namiot. Mam takie wspomnienia już jako trzylatek. Bywało tak, że tata brał urlop na lipiec, mama na sierpień, a my z bratem mieliśmy dwa miesiące wakacji, miesiąc z jednym rodzicem, miesiąc z drugim. Od siódmej klasy jeździłem już sam ze swoją paczką.



W gronie rodziny

M. G. Nazwisko Friedrich ma niemieckie brzmienie i pisownię, czy rodzina ojca pochodzi z Niemiec?

– Nie. Wszyscy się temu dziwią, ale nie. Mój tata kiedyś

próbował odtworzyć całe drzewo genealogiczne rodziny, jeździł po parafiach, archiwach i szukał śladów rodzinnych. Przy okazji wyjaśnił problem nazwiska. Pradziadek czy prapradziadek, rejestrując dziecko przy chrzcie w zaborze pruskim, dał mu na drugie imię Fryderyk, po niemiecku Friedrich. W biurze drugie imię potraktowali jako nazwisko i tak zaczęła się linia rodowa Friedrichów.

M. G. Jakim ojciec był dzieckiem?

– Pewnie dosyć żywym. Od początku miałem jakiś rower po dziadku, później własny. Dużo też chodziłem na rajdy, obozy, biwaki. Szczególnie pod koniec ogólniaka i na studiach. Również zimą lubiłem chodzić po górach, np. rano na piechotę na Kasprowy, potem na Świnicę i przez Zawrat do Pięciu Stawów i o dziewiątej wieczorem w schronisku. Na szczęście śnieg wtedy był wyjątkowo dobry. Teraz już bym się na to nie odważył.

M. G. Jak długo ojciec jako jezuita współpracuje z WŻCh?

– Pierwszy raz spotkałem WŻCh w 1984 roku. Przyjechałem do Warszawy na studia teologiczne i zaraz jesienią nawiązałem kontakt ze środowiskiem łażniewskim – grupą ludzi skupioną wokół ośrodka prowadzącego rekolekcje dla chorych w Łażniewie. Z tego właśnie środowiska pod koniec lat siedemdziesiątych powstała najstarsza grupa WŻCh – św. Józef. Natomiast z grona współpracujących z nimi młodych ludzi, najczęściej w wieku studenckim, próbowano stworzyć drugą wspólnotę. I z tą grupą zacząłem się spotykać.

M. G. Ile czasu trwała współpraca z tą pierwszą grupą?

– Grupa spotykała się cztery, może pięć lat, a potem przestała. Z niektórymi z nich mam kontakt do dzisiaj.

M. G. Co się w tym czasie działo we wspólnocie WŻCh?

– W 1985 roku, zimą, o. Schulz dwukrotnie poprowadził rekolekcje „w dynamice małej grupy”, czyli rekolekcje ignacjańskie, ale połączone ze spotkaniami małej grupy. Najstarsi ludzie z WŻCh (jak to powiedziano w Kaliszu: „ZBoWiD wużetchowski”) pamiętają to ważne doświadczenie. Pokazało ono zbieżność drogi duchowej pojedynczego człowieka i drogi całej grupy. Kiedy o. Schulz wyjeżdżał w 1985 roku w czerwcu na swoją probację do Stanów Zjednoczonych, poprosił mnie o poprowadzenie w czasie wakacji podobnych rekolekcji. Prowadziłem wtedy wspólnie z animatorami dwie serie takich rekolekcji.

W kolejnych latach, gdy byłem klerikiem, a potem kapłanem pracując przez rok przy kościele na Świętojańskiej, dość mocno udzielałem się w WŻCh. Byłem odpowiedzialny przede wszystkim za wspólnoty warszawskie oraz za formację młodych grup. W 1990 roku zamieszkałem w Warszawie na Rakowieckiej, gdzie zostałem prefektem, czyli odpowiedzialnym za naszych kleryków jezuitkich studiujących teologię.

Miałem sporo zajęć jako prefekt, ale byłem również asystentem wspólnoty warszawskiej. W 1992 roku wyjechałem do Gdyni, a po czterech latach do Irlandii na Trzecią Probację.

W. M. Co znaczy to słowo „probacja”?

– Probacja znaczy próba, a określa etapy formacji każdego jezuitę. Pierwszą Probacją przechodzi się w czasie kandydatury, czyli okresie przed nowicjatem. Druga Probacja to dwa lata nowicjatu. Później następują studia, pewien okres pracy kapłańskiej i wreszcie Trzecia Probacja, czyli rok ponownie poświęcony formacji wewnętrznej i zakonnej.

M. G. Co ojciec robił po probacji?

– Zostałem ekonomem Prowincji, co – można powiedzieć – oznacza dyrektora finansowo-administracyjnego. Podlegają mi sprawy finansowe, administracyjne i własnościowe naszej Prowincji.

M. G. Czy ojciec ma ekonomiczne wykształcenie?

– I mam i nie mam. Śmieją się ze mnie w domu, że uciekałem od ekonomii i nie uciekłem. Bo moi rodzice są ekonomistami. A ja uciekłem do zakonu i zostałem... ekonomem Prowincji. Tak, że to zaplecze „domowe” bardzo mi pomaga.



Podczas studiów teologii w Kolegium Księży Jezuitów na ul. Rakowieckiej w Warszawie

Zwłaszcza na początku mojej posługi nie raz radziłem się rodziców w wielu sprawach. Pomaga mi też techniczne wykształcenie, trzy lata na Politechnice Gdańskiej.

M. G. Jak długo pełni się funkcję ekonomy?

– Nie ma kadencji. Pełni się ją w miarę potrzeby, możliwości – osobiście nie chciałbym tego robić zbyt długo, bo jest to funkcja dość „techniczna”, ma się mniej kontaktu z ludźmi, mało czasu zostaje na działalność duszpasterską. Na razie jestem ekonomem od trzech lat i dobrze jeśli nim będę jeszcze dwa, maksymalnie trzy lata.

M. G. Kiedy ojciec został asystentem narodowym WŻCh?

– Na wiosnę 1998 roku. Ojciec Adam Schulz, poprzedni asystent, miał dużo pracy w Radzie Ruchów Katolickich, zo-

stał rzecznikiem Episkopatu Polski, pojawiło się wobec tego wspólne odczucie, że ktoś powinien go odciążyć w pracy, najlepiej ktoś, kto miał już doświadczenie pracy z WŻCh.

W. M. Czy to o. Schulz zaproponował ojcu przejęcie funkcji, czy była to Ewa Poleszak? Gdzie taka decyzja zapada?

– Decyzja była mocno konsultowana. W Normach Ogólnych jest zapis, że Rada Wykonawcza przedstawia o. Prowin-



Święcenia kapłańskie, 1987 r.

cjałowi propozycje kandydatów na asystenta. Wiem, że z początku mojego nazwiska wśród tych propozycji nie było. Później były rozmowy z o. Prowincjałem, z o. Schulzem i wychodziło na to, że są dwie możliwości: albo przyjdzie ktoś, kto będzie miał może więcej czasu, ale wcześniej z WŻCh nie pracował, albo będę ja, który wcześniej pracowałem, ale mam mniej czasu. Trzeba było rozważyć, co wybrać. Natomiast ostateczną decyzję podjął o. Prowincjał.

W. M. Jak się układa współpraca ze wspólnotą?

– Dobrze. Zauważam zmianę w postrzeganiu funkcji asystenta WŻCh. Na początku dość często odczuwałem takie oglądanie się na mnie: „A co ojciec asystent by uważał, a czy my tak możemy.” Wtedy odpowiadałem: „To twoje zadanie, twoja decyzja. Ja mogę ci doradzić, powiedzieć, jak ja to widzę, ale ty masz sam decydować.” Uważałem i uważam, że WŻCh powinno być dość niezależne od jezuitów. Nie widzę mojej funkcji asystenta tak, że powinienem sterować wspólnotą, rządzić. Dla mnie jest istotne, żeby świeccy sami umieli prowadzić wspólnotę... Obecnie mam poczucie, że członkowie wspólnoty coraz bardziej czują się za nią odpowiedzialni.

W. M. Czy zdarzają się niesnaski, bo rozumiem, że funkcja asystenta to także pilnowanie, żeby praca wspólnoty była zgodna z nauką Kościoła, czy tak?

– Nie zdarzyło mi się jeszcze, bym musiał w ten sposób interweniować, coś zupełnie zanegować. Było parę spraw, kiedy próbowałem stymulować pewne działania, gdy uważa-

łem, że jakaś propozycja jest zbyt płytka albo idzie w złym kierunku. Ale polegało to na wyrażeniu swojej opinii: „Słuchajcie, czy naprawdę tak, czy nie można by inaczej?” Tak było np. ze spotkaniem w Kaliszu. Pierwsze propozycje były takie: „Spotkajmy się, bo jest pielgrzymka, bo rok jubileuszowy, może byśmy w takim razie pojechali na odpust.” Według mnie to nie było wystarczające, sugerowałem, że może coś więcej: formacja, spotkania w grupach. I tak wspólnie opracowano program możliwie bogaty, twórczy.

W. M. Jak da się pogodzić funkcję asystenta narodowego i ekonomy?

– Pogodzenie tych dwóch funkcji nie jest trudne, bo ja lubię pracę z ludźmi. Bycie asystentem, pomoc w życiu duchowym, w rekolekcjach, kierownictwo duchowe, rozmowy..., to jest to, co daje przeciwagę funkcji ekonomy. Jedyny problem to czas. Niestety nie zawsze ten czas mam, muszę go dzielić pomiędzy różne zajęcia.

M. G. Czy bycie zakonnikiem, ekonomem Prowincji, asystentem WŻCh pozostawia jeszcze czas na prywatność, na własne zainteresowania, czytanie książek, niezawodowe spotkania?

– Funkcję ekonomy pełnię trzeci rok od 1997 roku. W tym czasie dokonywały się olbrzymie zmiany, wprowadzono reformy. Bardzo rzutowało to na moją posługę. Choćby konieczność stworzenia nowej struktury ubezpieczeń społecznych i zdrowotnych dla wszystkich jezuitów, uregulowanie spraw własności naszych domów, osobowości prawnej domów zakonnych i parafii, spowodowała, że ilość bieżących spraw „do przerobienia” była duża. Obecnie zaczyna się to



Wśród członków WŻCh w Gdańsku

uspakając, ten rok jest łatwiejszy i odczuwam, że mam coraz więcej czasu. Na szczęście mam taki dar, że nie przesadzam z pracą – w momencie, kiedy dochodzę do pewnej granicy, kiedy czuję, że jestem zbyt zmęczony, wyłączam się.

M. G. Czy ma ojciec czas na spotkania z przyjaciółmi.

– Mam trochę przyjaciół, czuję, że ludzie mnie lubią, na-

wet jak nie mam dla nich zbyt wiele czasu. Na pewno nie uciekam przed spotkaniami, jeśli ktoś mnie zaprasza na kolację, bo właśnie przygotował flaczki, to nie odmawiam.

M. G. Czy to ulubiona potrawa ojca?

– Nie, ale jak są dobre, to jem z przyjemnością.

M. G. Co ojciec uważa za najcenniejsze w WŻCh dla Kościoła, dla ludzi? Kiedy rozmawialiśmy z Jankiem Sołdaczukiem, powiedział nam, że ważną sprawą w czasie powstawania wspólnoty w latach osiemdziesiątych było utworzenie środowiska, dającego oparcie ludziom wobec dość wrogiego świata. W tej chwili jest chyba trochę inaczej?

– Jest inaczej i nie jest. Świat może nie jest już wrogi, bo nie ma takiego podziału: my katolicy i oni komuniści. Ale dzisiaj ważniejsze jest, że ten „świat” mało żyje wartościami chrześcijańskimi, a nawet ogólnoludzkimi. Dzisiaj tworzy się wizję człowieka, który ma, posiada, zdobywa..., człowieka sukcesu, człowieka pieniędzy. Giną więc takie wartości jak prawda, dobroć, życzliwość.... Prawda dla wielu polityków nie istnieje; nie ważne, czy to, co się mówi, jest prawdziwe, tylko czy będzie dobrze odebrane przez wyborców.

Dla mnie największą wartością duchowości ignacjańskiej jest nacisk na godzenie rzeczy Bożych i ludzkich, życie w tym świecie i nie gubienie w nim Pana Boga. Dlatego w WŻCh tak podkreśla się, by być mocno osadzonym w pracy, w domu, w rodzinie, w polityce, w gospodarce... i jednocześnie by w tym wszystkim znaleźć wymiar nadprzyrodzony – wiary, wartości chrześcijańskich, duchowości.

M. G. Powiedział ojciec wcześniej, że istnieje zbieżność pomiędzy drogą duchową człowieka, a drogą duchową wspólnoty. Czy obecnie jest możliwe bycie chrześcijaninem bez wspólnoty?

– Na pewno to jest możliwe, bo są różne duchowości i różne charyzmaty. W początkach Kościoła mocno rozwijała się duchowość pustelnicza i na pewno wielu ludzi doskonale odnajduje się w takim samotnym przeżywaniu relacji z Panem Bogiem. Natomiast rzeczywiście dziś więcej ludzi poszukuje różnego typu wspólnot. Jest łatwiej, żywiej, bardziej twórczo przeżywać wiarę wspólnie, dzielić się nią, wspierać wzajemnie. I stąd taki dosyć gwałtowny rozwój ruchów: Odnowy w Duchu Świętym, Oazy, Neokatechumenatu. Człowiek tego bardzo potrzebował, zwłaszcza na pustyni komunizmu. Obecnie ta potrzeba trochę zaczęła słabnąć, wielu bardziej zajęła kariera, sukces, praca...

W. M. Czy to, że w Polsce jest dużo wspólnot, jest rzeczywiście znakiem czasu, czy znakiem zmian w Kościele?

– Nie wiem jak rozumiesz zmianę w Kościele?

M. G. Chodzi o zmieniającą się rolę świeckich.

– Tylko, że tę rolę świeccy sami sobie wypracowują, to nie

jest tak, że biskup zdecydował, że świeccy mają mieć większe zadania w Kościele. Warto poczytać historię Kościoła w dwudziestolecie międzywojennym – ile wtedy było bractw, konfraterni, stowarzyszeń skupiających świeckich, to oni działali w Kościele, mieli swoje kamienice, ośrodki, własne kościo-



Z asystentem światowym WŻCh, o. H.P. Kolvenbachem i delegacją polską w Itaiaci

ły. Dopiero w czasach komunistycznych powstał taki obraz Kościoła: ksiądz i tłumy wiernych biernie uczestniczących w niedzielnej mszy. Wynikało to pewnie najbardziej – choć nie jedynie – z prześladowań, jakie spotykały tych, którzy włączyli się w życie Kościoła. To właśnie powstające ruchy odkryły na nowo wizję świeckich, którzy mają swój twórczy udział w Kościele. Choćby taki ruch oazowy, który uczył ludzi liturgii, bycia przy ołtarzu, angażowania się w to, co się w Kościele dzieje.

M. G. Czy ojciec ma kierownika duchowego?

– To jest zalecane. Zwykle miałem kogoś takiego. Był okres, że korzystałem z rozmów z kierownikiem bardzo regularnie, nawet raz w tygodniu, zwłaszcza przez czas studiów i po nich. Później już nie zawsze miałem potrzebę czy możliwości, żeby utrzymać taką częstość spotkań. Obecnie, zwykle raz na miesiąc, to zależy od potrzeb.

M. G. Jacy są ulubieni duchowi mistrzowie ojca?

– To się zmieniało w zależności od czasu. W pewnym okresie sporo czytałem Thomasa Mertona. Praktycznie do dzisiaj lubię czerpać z książek Antoniego de Mello, dużo zawdzięczam Carlo Martiniemu. Był czas, że czytałem sporo książek z pogranicza psychologii i duchowości, głównie w Gdyni, kiedy prowadziłem rekolekcje. Często pojawiało się wtedy pytanie: co jest potrzebne rekolektantowi od strony duchowej, a co od strony ludzkiej. Czytałem Johna Powella, Aleksandra Lowena.

M. G. Czy to jest jakaś specyfika jezuitów, że zwracają uwagę nie tylko na duchowość, ale i na psychikę?

– To jest specyfika duchowości ignacjańskiej, a nie jezuitów – nie tworzyć enklawy „czystej duchowości” oderwanej od realnego człowieka. Św. Ignacy mówił: miej objawienia, bądź człowiekiem mistyki, ale jednocześnie stąpaj twardo po ziemi.

W. M. Na koniec chciałbym spytać, jakie są ojca ulubione książki z literatury pięknej?

– Różne, ostatnio np. w wolnych chwilach czytałem trochę Musierowicz.



M. G. Naprawdę?!

– Czemu nie. Bardzo mi się jej książki podobają, czuje się wiele dobra promieniującego z jej bohaterów, a autorka ma bardzo pozytywne podejście do życia i to się czuje.

M. G. A 'chłopczyńskie' książki?

W. M. Niziurski?

– To znacznie wcześniej. Dużo czytałem w podstawówce. Nawet nie wiem, czy to nie była jakaś forma ucieczki. Przeczytałem chyba wszystko Dumas'ów, oj-

ca i syna, a także Karola Maya – Winnetou, Fiedlera....

M. G. Bardzo dziękujemy za rozmowę.

MIŁOŚĆ MOJA NIE ODSTĄPI OD CIEBIE...

W imieniu wspólnoty „św. Józef” chcę podzielić się niezwykłym doświadczeniem, które stało się naszym udziałem. Gdyby ktoś zapytał nas, dojrzałych chrześcijan, czy wierzymy, że Bóg może uczynić cud, znak taki, jak w Ewangeliach, np. że może uzdrowić, odpowiedzielibyśmy zapewne, że tak, oczywiście, może, ale gdyby spytano nas, czy taki cud może się zdarzyć na naszych oczach – komuś, kogo dobrze znamy – to zapewne odpowiedzielibyśmy inaczej.

Joanna Grodzicka należała do naszej wspólnoty przez kilka lat. Poznaliśmy się przy okazji różnych działań na rzecz osób chorych na SM (stwardnienie rozsiane), w co nasza wspólnota się zaangażowała. Joanna, mimo że sama chora na SM i poruszająca się na wózku, była osobą niesłychanie aktywną. W swoim tekście pisze tylko ogólnikowo o ogromie prac, które podejmowała, więc należy się parę słów uzupełnienia.

Joanna od początku bardzo aktywnie włączyła się w działalność stowarzyszenia chorych na stwardnienie rozsiane stając się spiritus movens większości podej-

mowanych akcji. Mimo że poruszała się na wózku była zawsze obecna w biurze i wszędzie gdzie trzeba i można było coś zdziałać. Z jej inicjatywy powstały grupy wsparcia, różne formy rehabilitacji (grupowa, indywidualna i turnusy). Wymyśliła warsztaty ceramiczne, zorganizowała Transportowe Usługi Specjalistyczne czyli transport miejski dla osób niepełnosprawnych. Prawie od samego początku redagowała kwartalnik dla chorych na SM „Nadzieja”, zainicjowała rekolekcje zamknięte i spotkania świąteczne dla chorych na SM. Te ostatni akcje były i są do dzisiaj przedmiotem zaangażowania naszej wspólnoty. Lista jej zajęć i dokonań jest o wiele dłuższa.

W tym czasie zdecydowała się na odejście z Odnowy w Duchu Świętym i zapytała o możliwość wejścia do WŻCh. Wspólne zaangażowanie, fakt odprawienia I Tygodnia Ćwiczeń i bardzo głębokie wyrobienie duchowe zdecydowały, że zaproponowaliśmy wejście do naszej wspólnoty, mimo iż byliśmy już wspólnotą „starą”, tzn. trwającą ponad 10 lat. Joanna od początku

stała się osobą bardzo ważną w naszej wspólnotcie. Jej głęboka duchowość połączona z ogromnym zaangażowaniem na rzecz chorych była wzorem tego, jak powinno wyglądać nasze życie.

Choroba jednak postępowała, pojawiały się nowe trudności i ograniczenia, z którymi radziła sobie w miarę, jak się pojawiały. Wreszcie w 1995 r. trochę na skutek przeforsowania (Zjazd IFMSS w Jerozolimie i zaraz potem seminarium w Konstancinie) przyszło całkowite załamanie – utrata władzy w rękach i nogach, spastyczność uniemożliwiająca korzystanie z wózka i prawie 10 miesięcy pobytu w szpitalu, najpierw w Instytucie Neurologii na Sobieskiego, potem na Banacha. Doszły kłopoty z oddychaniem stanowiące realne zagrożenie dla życia. Przeprowadzono w obu szpitalach serię badań i prób, wreszcie po opanowaniu zagrożenia uduszeniem wypisano do domu. Lekarze byli zgodni: o żadnej poprawie nie może być mowy, pozostaje mieć nadzieję, że nie będzie gorzej. Nierozumiałe i trudne do przyjęcia było to, że osoba tak potrzebna, tyle dobra robiąca dla innych została dramatycznie wyłączona z aktywnego, mimo trudności, niezależnego życia i zdana całkowicie na opiekę innych – karmienie, mycie itd. Spotkania naszej wspólnoty odbywały się więc przy łóżku, była Msza św., a nawet próba zrobienia rekolekcji w życiu. Kleryk, jezuita przygotował punkta, inni przynosili komunię.

Koniecznością okazał się powrót do rodzinnego Torunia pod opiekę rodziców i całego grona ludzi życzliwych. Aktywność jednak pozostała. Lekki ruch ręki umożliwił pisanie na leżącym na łóżku notebooku. Tak powstawały artykuły do „Nadziei”. Niemniej dostępny świat skurczył się do pokoju, aktywność do słów i myśli; do spraw ducha. Szczęśliwie znaleźli się klerycy z pobliskiego seminarium diecezjalnego, którzy przynosili codziennie Komunię, a przede wszystkim ich ojciec duchowy, wspaniały mądry kapłan. W tym czasie Joanna nawiązała kontakt z nowym klasztorem Sióstr Karmelitanek w Łasinie, niedaleko Torunia. Duchowość Karmelu – aktywność mimo ograniczenia miejsca i zamknięcia (przecież św. Teresa od Dzieciątka Jezus jest patronką misji, mimo iż nie opuściła nigdy murów swojego klasztoru w Lisieux) – dobrze pasowała do obecnej jej sytuacji. Joanna, pół żartem, mówiła, że zdradziła św. Ignacego dla św. Teresy. Te kontakty zaowocowały niezwykłą decyzją, za zgodą generalnego przełożonego zakonu karmelitańskiego Joanna złożyła w sierpniu 1998 r. śluby w świeckim zakonie w Karmelu.

W grudniu 1998 r. w ramach przygotowań do beatyfikacji ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego, bardzo zasłużonego kapłana diecezji toruńskiej, który zmarł śmiercią męczeńską w Dachau, klerycy Seminarium Duchownego odprawiali nowennę, w czasie której proszono, za wstawiennictwem ks. Frelichowskiego o uzdrowienie Joanny. Nowennę podjęły również Karmelitanki z Łasina. Sama Joanna nie była inicjatorką, lecz wyraziła zgodę. W trzecim dniu nowenny, leżąc w łóżku poczuła, że może zgiąć nogę. Ogromna spastyczność nie pozwalała dotychczas na żaden taki ruch. Potem okazało się, że może ruszać rękami. Choroba ustąpiła nagle, pozostały jednak jej skutki oczywiste po 3 latach leżenia bez ruchu – przykurcze mięśni, kłopoty z krążeniem i ogromne osłabienie. W tym czasie nie brała żadnych nowych leków, nie stosowała żadnych terapii czy medycyny alternatywnej. Powoli, najpierw siadanie, po kilku dniach wstanie, pierwsze kroki po mieszkaniu, po miesiącu pierwsze wyjście na dwór. W maju 1999 r. Joanna sama przyjechała do Warszawy i odwiedziła znajomych również z WZCh. Od naszej wspólnoty dostała ikonkę św. Ignacego, a od asystenta – wino z góry Karmel, przywiezione specjalnie z Ziemi Świętej. W lipcu zrobiła w Gdyni III i IV Tydzień rekolekcji, potem wzięła udział w rekolekcjach dla chorych na SM w Magdalence, w których przed laty uczestniczyła na wózku. Dla chorych, którzy tam byli, jej obecność i świadectwo były ogromnym przeżyciem. 7 września wstąpiła do klasztoru karmelitanek w Łasinie, w którym jest już jedna osoba z kaliskiej WZCh.

Serdecznie zapraszam do przeczytania świadectwa Joanny.

Katarzyna Czarnecka
„św. Józef”, Warszawa

Drodzy moi!

Mam podzielić się z Wami czymś najbardziej osobistym – opowiedzieć pokrótce historię mojego życia, wielu wydarzeń, które dla mnie samej pozostają tajemnicą, zadziwiającym darem. Będę pisać tak, jak pisze się list do bliskich sobie osób, do tych, z którymi wiele człowieka łączy, którzy są dla niego ważni. Tak to odczuwam, chociaż nie znamy się osobiście.

Jeśli mam sięgać pamięcią wstecz, to myślę przede wszystkim o najbliższych, o domu, w którym wzrastałam. Jestem pewna, że w dużej mierze właśnie dzięki temu, że był on jaki był, udało mi się przetrwać różne trudne chwile w życiu. Miałam szczęście urodzić się w bardzo kochającej się i żytej rodzinie, której ciepło dawało poczucie bezpieczeństwa. Wzrastałam wśród osób, które bez słów, swoim codziennym postępowaniem

niem, pokazywały kędy droga pośród zawilosci tego świata. Taki dom to skarb, bo nawet nie wiedząc o tym czy (jak to bywa w wieku lat nastu) buntując się przeciw niektórym zasadom w nim obowiązującym, człowiek nasiąka dobrem.

Już od dzieciństwa miałam zamiłowanie do sportu. Stadion sportowy czy sala gimnastyczna były od zawsze miejscami dobrze mi znanymi, ze względu na sportowe sukcesy mojego Taty. Nic więc dziwnego, że sama też chciałam zacząć trenować. Nie było to żadne zawodnicze katowanie się, ale zabawa w amatorskie uprawianie koszykówki – choć w czasie treningów, meczy, obozów sportowych wkładałam całą siebie w to, co robiłam. Oprócz sportu pasjonowało mnie wiele innych rzeczy, trzeba więc było jakoś umiejętnie dzielić czas między różne zajęcia. Tak minęły lata szkoły podstawowej, a potem średniej, bardziej chyba – w każdym razie w moich wspomnieniach – pod wpływem zaangażowania w grupie Ruchu Światło-Życie, sportu, gry na pianinie etc., niż pod wpływem samej szkoły i tego, co w niej się działo.

Czas studiów, to w moim życiu okres dość szalony. Przeniosłam się z rodzinnego Torunia do Warszawy i zaczęłam studiować psychologię. Sama psychologia wkrótce przestała mi wystarczać i równolegle do programu studiów, od III roku rozpoczęłam specjalizację i zaczęłam przygotowania do robienia pracy magisterskiej w Zakładzie Neurofizjologii Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN. Jednak znowu, choć bardzo lubiłam się uczyć i miałam co robić, mając poszerzony program studiów, to poza uczelnią i Instytutem był sport, a od początku IV roku popołudniowa praca wychowawczyni dzieci chorych na gościec w Konstancinie, w Oddziale Instytutu Reumatologii. Poza tym, w każde wakacje – chodzenie po górach, szczególnie po ukochanych Gorcach, bo tam można było całe dni wędrować i spotkać kilka zaledwie osób, w przeciwieństwie do tatrzańskich, przepięknych, ale zatłoczonych szlaków. Były też jeziora i pływanie – tylko zimno mogło wyrzucić mnie z wody, inaczej pływałabym bez końca.

Pod koniec studiów z moim zdrowiem zaczęło się dziać coś niepokojącego. Któż z nas nie zna tego stanu, kiedy pierwsze objawy choroby zaczynają wkradać się w życie najpierw niby to niewinnie, a z czasem coraz bardziej burzą jego dotychczasowy rytm i styl. Najpierw musiałam zrezygnować z koszykówki, potem z gór, potem z pracy na Reumatologii... W końcu było tak, że z Instytutu, w którym zostałam na studiach doktoranckich, wracałam do pustego domu i nie ma-

jąc już na nic zupełnie siły padałam na tapczan. Trudne było to przejście z życia w ciągłym ruchu, w biegu, do takiego zakotwiczenia się w miejscu. Trudne też było trwanie w niepewności, co się ze mną dzieje. Przez pierwsze trzy lata, nikt nie potrafił powiedzieć, co mi właściwie jest. Nabywałam nielatwych doświadczeń bycia pacjentem, odsyłana ze szpitala do szpitala, z oddziału na oddział, z podejrzeniami wahającymi się od nieoperacyjnego guza mózgu do hysterii. W końcu przyszedł moment postawienia diagnozy SM-u, który był raczej chwilą ulgi, że wreszcie przeciwnik został nazwany. Teraz trzeba tylko znaleźć właściwe metody oporu. Po wielu latach okazało się, że ów przeciwnik został błędnie określony i wcale nie miałam SM-u. Ta pomyłka w diagnozie nie miała jednak większego znaczenia, bo to, na co faktycznie chorowałam, o ile zdołałam się przekonać, dawało gorsze niż SM rokowania. Żadnych szans na jakąkolwiek poprawę, żadnych szans na znalezienie leku. Zmiana diagnozy, oprócz tego, że nastąpiła w dramatycznych okolicznościach, spowodowała, że bardzo doceniłam



**Rekolekcje dla chorych na SM w Magdalence, 1991 r.
Joanna w środku**

oparcie jakie daje chorym na SM istnienie PTSR-u i całej międzynarodowej społeczności nagłaśniającej sprawy stwardnienia rozsianego. Dopiero kiedy okazało się, że nie mam SM-u, a tym, na co jestem chora, prawie nikt się nie zajmuje, a w każdym razie jest to zupełny margines zainteresowań medycyny, wywołało to we mnie poczucie pewnego rodzaju osamotnienia i musiało upłynąć trochę czasu, nim dałam sobie z nim radę.

Wróćmy jednak do początków choroby. Miałam coraz to większe kłopoty z chodzeniem i w końcu przyszedł moment, kiedy musiałam się przełamać i zacząć używać kuli. Pamiętam tę chwilę doskonale, bo to trochę tak, jakby poddać się i składać broń wobec agre-

sora, który okazał się silniejszy. Nie było łatwo pokazać się z kulą w pracy ani też pojechać z nią pierwszy raz do domu – dla najbliższych to przecież także ból, myślę, że nawet w pewnym sensie trudniejszy do przyjęcia. Ja wiedziałam, że muszę nauczyć się żyć z nieuleczalną chorobą, miałam wiele do zrobienia. Oni znaleźli się w sytuacji kibiców, którzy z całą miłością towarzyszą zawodnikowi, ale gdy tamten słabnie, stają się w dużym stopniu boleśnie bezradni wobec przychodzących wydarzeń. Patrząc, jak ktoś bliski zmagają się z dokuczliwymi objawami choroby i nie móc nic zrobić, to jedna z najtrudniejszych prób dla człowieka. Dochodzą do tego różne psychiczne, emocjonalne zablokowania chorego, które sprawiają, że w niektórych sprawach nie pozwala on sobie pomóc. Kiedy czasem denerwują nas jakieś zachowania kogoś z rodziny czy przyjaciół, warto zdać sobie sprawę, że nasza choroba może przerosnąć nie tylko nas samych, ale też kogoś z naszych bliskich.

Z czasem, po okresie początkowego szoku wywołanego nową sytuacją, zaczęłam szukać takich sposobów aktywności, które byłyby na miarę moich sił i pozwoliłyby te mizerne siły wykorzystać. Jest taka dobra zasada, która mówi, że lepiej skupić się na tym, co człowiekowi jeszcze pozostało, niż rozpamiętywać to, co utracił. Wtedy łatwiej zachować wewnętrzną równowagę i pogodę ducha, a dobro przeżyte w przeszłości, choć obecnie utracone, nie będzie prowadziło do rozpaczki, ale będzie źródłem siły na trudne dziś. Będziemy w stanie odczuwać wdzięczność, że było, zamiast płakać, że przeminęło. Przypuszczam jednak, że żadnej z najlepszych nawet zasad, z którymi zgadzałam się w teorii, nie udało mi się wcielić w życie, gdyby nie oparcie i pomoc, jakie miałam ze strony rodziny i przyjaciół. Już to, co wyniosłam z domu i z tradycji rodzinnej w szerszym znaczeniu, dawało mi mocne podstawy radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Z drugiej strony moi przyjaciele cały czas byli blisko, myśleli w czym pomóc, przychodzili do mnie czy wyciągali mnie z domu. To wielki dar zaznać prawdziwej, głębokiej przyjaźni. Jedną osobę, z którą przegadałam w tym początkowym okresie choroby długie godziny, chcę tu wspomnieć. To była Milena. Sama ciężko chora na cukrzycę, ale nie robiąca z tego żadnej sprawy. Ten, kto nie wiedział, nie był w stanie się domysleć. Milena żyła pełnią życia, radości, zawsze otoczona ludźmi. Nie miała nic z takiej psychiki chorego, dla którego choroba jest pierwszym zjawiskiem identyfikującym go przed sobą samym i przed innymi. Pamiętam, podczas jednej z naszych rozmów to odczu-

cie, które przyniosło mi ulgę: a więc nie tylko ja tak się borykam, inni przeżywają podobnie i jakoś sobie radzą i żyją... to po prostu normalne. Milena zmarła wiele lat temu. Nasza ostatnia rozmowa była po prostu o tym, jak Pan Bóg przygotowywał Ją na to najpiękniejsze spotkanie z Nim w chwili śmierci. Ostatnie miesiące życia Mileny, sam czas Jej odchodzenia, były dla mnie darem wielkiej, choć bolesnej Jej bliskości. Myślę, że Milena nie ma mi za złe uchylenia rąbka tajemnicy naszej przyjaźni i uśmiecha się teraz z Nieba...

Kolejny etap rozwoju choroby wymagał zaprzyjaźnienia się z wózkiem inwalidzkim. Tak jak to w tej chwili pamiętam, przyszło mi to łatwiej niż oswojenie się z kulą. Pewnie już dojrzałej patrzyłam na sprawę i nie widziałam w wózku symbolu własnej klęski, jedynie środek, który umożliwi mi zachowanie kontaktu z zewnętrznym światem. Na tyle źle chodziłam, że mogłam albo tkwić uwięziona w domu, albo nadal z niego wychodzić, tyle że na wózku. Możliwość prowadzenia aktywnego życia była dla mnie ważna, więc jeśli wymagała pogodzenia się z wózkiem, było dla mnie oczywiste, że muszę to zrobić. Ucząc się żyć z przewlekłą chorobą, trzeba w pewnym momencie ustalić sobie hierarchię ważności spraw. Lepiej zrobić to świadomie, samemu wybrać, niż dawać się wodzić za nos jakimś podświadomym odruchom, obawom, lękom. One to często każą nam walczyć z wiatrakami, a jednocześnie czynią nas nieszczęśliwymi, bo taka walka jest przecież beznadziejna... Nie jest prawdą, że choroba odbiera nam wszelkie możliwości wyboru. Czasem tylko nie jesteśmy w stanie czy na skutek jakichś uwarunkowań nie chcemy, nie umiemy wybierać, a tylko na oślep brniemy gdzieś na własną zgubę. Bardzo trudno przekonać się, że wraz z pojawieniem się choroby człowiek nie traci nic ze swej wolności. Pojawiają się różne ograniczenia, z zewnętrznej warstwy wolności pozostają marne strzępy albo zgoła nic. Jednak to, co jest najgłębszą istotą wolności podejmowanych przez nas wyborów, decyzji, pozostaje niezachwiane. Nie przytaczam tu jakichś książkowych teorii ani wyuczonych formułek. „Dobijanie się” do tego przekonania pamiętam jako jeden z najboleśniejszych momentów mojego życia i ogromnie jestem wdzięczna Panu Bogu, że poprowadził mnie właśnie przez te trudne zakręty. Przez wiele lat choroby, które przyszyły po wspomnianym przeze mnie okresie walki, to doświadczenie było dla mnie (i nadal jest) drogocennym skarbem, choć w danym momencie zdawało się być czymś na kształt końca świata. Odkrywanie najgłębszego

wymiaru ludzkiej wolności, to praca na całe życie. Do samej chwili śmierci trzeba nam o nią walczyć. To, co potocznie nazywamy wolnością, to nasza chęć robienia tego, co chcemy, pragniemy i w taki sposób, w jaki chcemy. A wolność zaczyna się dopiero tam, gdzie wyzwalamy się ze zniewolenia naszymi „chceniami”.

Wracając do przerwanej historii – nie mogłam zostać bezczynna w domu, bo to byłoby równoznaczne z wyborem drogi jakiegoś samozniszczenia, zamknięciem się na własną zgubę, a poza tym zupełnie nie leżało w mojej naturze. Zaczęłam więc szukać czegoś, czym mogłabym się zająć mając dużo czasu i... niewiele sił. Dużo myślałam wtedy o innych osobach, które przechodzą przez podobne doświadczenia, i o tym, że chciałabym być z nimi, włączyć się w organizowanie wzajemnej pomocy. Do takiej decyzji też musiałam dojrzeć. Pamiętam, że niedługo po zdiagnozowaniu dowiedziałam się skądś, że na Elektoralnej będzie spotkanie dla chorych organizowane przez TWK. Poszłam na to spotkanie i nic a nic nie pamiętam, o czym była na nim mowa. Wiem tylko, że przeżyłam tam swego rodzaju szok, widząc wiele osób mających kłopoty z poruszaniem się. W mojej głowie bezustannie tłukła się myśl, że teraz jestem, jedną z nich, i była to myśl pełna lęku. Jakże jestem wdzięczna Panu Bogu, że nie dał mi się zasklepić w tym pierwszym zamknięciu i lęku. Czasem może się wydawać, że lepiej jest zachować dystans do środowiska ludzi chorych, bo wtedy łatwiej jest uchronić się od wpadnięcia w taką pułapkę psychicznego zasklepienia się w chorobie. Wydaje mi się jednak, że są to dwie zupełnie różne sprawy. Można ciągle mówić o innych chorych „oni” i unikać ich towarzystwa, a jednocześnie tak wewnętrznie (co oczywiście znajdzie odbicie w naszym zachowaniu) dawać się terroryzować chorobie, być przede wszystkim chorym, a dopiero potem człowiekiem. Dążąc do pełnej integracji swojej osobowości, nie można unikać prawdy. Prawda zaś jest taka, że osoby poważnie, przewlekłe chore, wiele łączy. Mogą one sobie wzajemnie wiele dać i pomóc. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy chorzy powinni należeć do jakichś grup czy stowarzyszeń. Chodzi mi jedynie o to, że chęć unikania spotkań z innymi chorymi, może być objawem lęku przed prawdą o chorobie. Trwając w nim, utrudniamy sobie drogę do akceptacji własnego życia i znalezienia w nim szczęścia.

Kiedy po kilku zaledwie latach choroby, musiałam zrezygnować z ulubionej pracy, nie widziałam dla siebie innej drogi, jak po prostu być z tymi, których dotknęło podobne cierpienie. Wtedy zaczął się ważny

rozdział mojego życia, jakim było Polskie Towarzystwo Stwardnienia Rozsianego, a co za tym poszło, inne jeszcze środowiska osób niepełnosprawnych. Nie będę tu wspominać żadnych działań, w których brałam udział, chcę tylko napisać o ludziach. Najpierw o spotkaniach z chorymi. Były wśród nich spotkania przelotne, zaledwie kilka minut rozmowy, ale wiele z nich mam do dziś w pamięci i w sercu. Były wiele lat trwające kontakty, które przerodziły się w przyjaźnie. Wszystkie one pozostały życiowym bogactwem dla mnie. Wszystkie wpłynęły na moje patrzenie na ludzi i świat. Uczyły pokory wobec drugiego człowieka, którego życie wydawało się czasem tak trudne, ból tak duży, że aż nie do uniesienia. Uczyły przyjmować życiowe trudności bez tracenia nadziei, pogody ducha, wewnętrznej radości. Były też spotkania trudne, sytuacje, które do dziś sobie wyrzucam – zbyt ostre słowa, zdenerwowanie, które ujawniło się w rozmowie z przychodzącym akurat człowiekiem, brak wycucia z mojej strony, jaka jest wrażliwość, odporność psychiczna danej osoby. Cały rachunek sumienia mogłabym zrobić z tych lat, a wszystkie osoby, które być może czytają te słowa, a wobec których zawiniłam, jak najmocniej przepraszam.

Inna ogromna wartość tego okresu mojego życia to wielkie i tak dla mnie znaczące przyjaźnie, które zaczęły się zwyczajnie od kontaktów wokół jakiegoś konkretnego działania. Przyjaźnie wypróbowane przez wydarzenia, które przyniosło życie. Po prostu prawdziwe przyjaźnie. Wiele osób, które poznałam w czasie tych lat społecznej pracy stało się moimi przyjaciółmi, ale też chyba niemal wszyscy moi przyjaciele z dawniejszych lat, w większym bądź mniejszym stopniu do tej pracy się włączali. Może trochę zanadto ich w tym względzie przynaglałam, ale skoro nie bronili się za bardzo...

W końcu przyszedł czas najtrudniejszy. W 1995 roku mój stan tak się pogorszył, że którejś niedzieli znalazłam się w szpitalu, nie mogąc nawet przysłowio- wym palcem ruszyć, a co gorsza, nie mogąc prawie oddychać. Gorzej się czułam już od jakiegoś czasu, ale ostateczne załamanie nastąpiło właściwie dość nagle. Zaczęły się długie miesiące balansowania na granicy życia i śmierci. Nagłe zapaści i okresy trochę stabilniejsze, w których cały czas jednak duszność była tak duża, że nie mogłam mówić, czasem też i lękać. Kiedy duszności się nasilały, pojawiała się odczucie, że jestem na skraju jakiejś czarnej czeluści, resztkami sił trzymam się, żeby się w niej nie zapaść. Początkowo byłam przekonana, że taki stan potrwa trochę

i wszystko wróci do normy, że będę mogła znowu sięść na wózek i żyć jak dotąd. Pomału jednak docierało do mojej świadomości, że to nie jest przejściowy stan. W momencie kiedy okazało się, że nie jestem chora na SM i kiedy zakończyły się badania i konsultacje dotyczące stawiania nowej diagnozy, zapytałam wprost o rokowania. Nie umiałam żyć nie znając prawdy. Okazało się, że nie ma szans na poprawę. Ten dzień będę zawsze pamiętać. Leżałam wtedy na „R-ce”, kompletnie sparaliżowana, dusząc się, mimo że pod tlenem. I kiedy ustąpiło zamieszanie związane z ratowaniem mnie, zdarzyło się kilka sytuacji, które tak po ludzku rzecz biorąc, były zepchnięciem mnie na samo dno rozpacz. Ale oprócz tego przeraźliwego stanu, do-



Międzynarodowy zjazd stowarzyszeń chorych na SM. Joanna była vice-przewodniczącą Polskiego Towarzystwa Stwardnienia Rozsianego

świadczyłam też wtedy bardzo mocno, że prawdziwie ponad tym wszystkim jest Pan Bóg, że gdy jest najciemniej i najtrudniej, Pan Jezus jest najbliżej, i że absolutnie nic nie jest w stanie Mu przeszkodzić, aby ludzkie serce utulić swą miłością, choćby nawet, po ludzku biorąc, zabito wszelką nadzieję. Jest w tym bólu i w tym cierpieniu, koi straszny ludzki lęk, poczucie, że wszystko już zawiodło, że medycyna nie jest w stanie ani trochę nawet uśmierzyć cierpienia. Fizycznie może nie być żadnej ulgi, ciemność się nie rozprasza i niby nic się nie zmienia, a... wszystko się zmienia. Tylko ufność, bezgraniczna i wbrew wszystkim, że On jest i czuwa nad wszystkim, może być lekarstwem dla człowieka w takim stanie. „Bo góry mogą ustąpić i pagórki się zachwiać, ale Miłość Moja nie odstąpi od ciebie...” – mówi Pan (Iz 54,10). Wszystkie ludzkie środki mogą zawieść, ale Jego miłość nigdy nie zawiedzie. Jest czulsza niż miłość najlepszej ziemskiej matki, troskliwsza niż miłość najukochańszego ziemskiego ojca. Gdybyśmy odrzu-

cali wszelkie gesty miłości naszych rodziców czy bliskich, nie poznalibyśmy nigdy jak bardzo nas kochają. Boża miłość jest znacznie bardziej delikatna niż jakakolwiek ludzka miłość, bo jedynie Bóg w pełni szanuje naszą wolność. Dlatego często możemy nie rozpoznać Jego miłości, odrzucić ją albo szukać jej gdzieś daleko, zamiast najgłębiej we własnym sercu. Tam właśnie Jezus nieustannie czuwa, aby pocieszyć, ukoić ból, uleczyć ranę. On, który umiłował do końca, może ranić tylko miłością.

Znakiem Bożej miłości na naszej drodze są ludzie, których spotykamy. Nie potrafię tego opisać ani nawet sama objąć, ile otrzymywałam i wciąż otrzymuję od moich przyjaciół, od rodziny. Kiedy w 1995 roku znalazłam się w szpitalu, wypadłam z wiru pełnej aktywności, która nie byłaby możliwa, gdyby nie różne osoby, które codziennie się o mnie troszczyły i pomagały mi. Robiły zakupy, gotowały obiady, sprzątały, a co najważniejsze były... Kiedy tym razem „zakotwiczyłam się” w szpitalu, zostałam tam na pół roku i w tym czasie nie było ani jednego dnia, żeby nie przyszła przynajmniej jedna, a najczęściej kilka osób. Nie były to wizyty towarzyskie. Trzeba było mnie myć, karmić, przekładać, zmieniać pieluchy... Jakim kosztem dla siebie samych to robili. Z ilu ważnych rzeczy rezygnowali, ile oddali czasu i sił – choćby taka prozaiczna rzecz jak godziny spędzone w autobusach. Mogę jedynie się domyślać, ile bólu sami przeżyli przy moim łóżku, szczególnie w różnych krytycznych chwilach, których było wiele. Co musieli w sobie pokonać, z siebie dać, aby tak nieustannie czuwać i podtrzymywać ten knotek o nikłym płomyku, którym było wtedy moje życie. To nie medycyna podtrzymuje życie w takich sytuacjach, tylko miłość. Miłość Boga – dawcy życia i miłość ludzi, którzy dając nawet sami nie zważając własnych trudów i wysiłków. Nie liczą, bo kochają.

Wysłałam ze szpitala „na leżać”, dalej mając kłopoty z oddychaniem, wymagając całkowitej pomocy przy każdej najdrobniejszej czynności. Przez kilka miesięcy byłam jeszcze w Warszawie, gdzie mieszkała ze mną Mama, a Tata i Brat dojeżdżali na weekendy. I dalej były dyżury przyjaciół, którzy przychodzili pomagać, odciążać Mamę. Coraz bardziej jednak stawało się jasne, że stan, w jakim się znalazłam, jest nieodwracalny, i że łatwiej będzie Rodzicom opiekować się mną, gdy wszyscy będziemy razem w Toruniu. Dla mnie to był kolejny koniec świata. Konieczność zostawienia wszystkich i wszystkiego, co kochałam, czym żyłam przez poprzednich kilkanaście lat. Toruń

wydawał mi się „czarną dziurą”, gdzie prócz najbliższych nikogo nie mam – dawne kontakty sprzed prawie dwudziestu lat już prawie się pourywały. Jak żyć będąc skazaną na łóżko i cztery ściany pokoju? Nie będę nawet wyliczać, ilu rzeczy zwyczajnie się bałam i z jakimi wewnętrznymi ciemnościami łączy się ten okres mojego życia. Z całych sił tylko starałam się modlić, żebym umiała przyjąć wszystko co przyjdzie, cokolwiek by to było, choć wydawało mi się, że i ta modlitwa wpadała w zupełną ciemność i wyrывałam ją z siebie ubrew wszystkiemu, co czułam. Pierwszych kilka miesięcy w Toruniu zdawało się potwierdzać wszelkie czarne scenariusze, ale przyszedł w końcu czas, kiedy przez te mroki przebiło się słońce, choć w mojej sytuacji niby nic się nie zmieniło. Dalej tak samo leżałam, tak samo zależna we wszystkim od innych, z poczuciem, że cała moja egzystencja wisi na włosku. Zmianę sprawiło na pewno po trosze ciepło rodzinnego domu, ludzie, którzy znaleźli się wkoło czy też ci, którzy wiernie przyjeżdżali z Warszawy, ale nade wszystko duszpasterska opieka, którą znalazłam w znajdującym się o krok od mojego domu toruńskim Wyższym Seminarium Duchownym. Jedynie sam Bóg wie, jak wielką łaską była codzienna Komunia św., z którą przychodzili do mnie klerycy, Msze św. odprawiane w domu, możliwość systematycznego przystępowania do sakramentu pokuty i pojednania, kierownictwo duchowe. Pan Bóg chciał okruszynki mojego zaufania i zdania się na Niego w zupełnej ciemności, żeby potem z bezgraniczną hojnością obdarować mnie w sposób, który przewyższył wszystkie moje oczekiwania. Pisząc o tym, myślę z bólem o wielu chorych, którzy bardzo pragną regularnie przystępować do sakramentów świętych, a są tej możliwości pozbawieni, nie mają wystarczającej duchowej opieki...

Dzięki pośrednictwu ks. Józefa z toruńskiego Seminarium Duchownego poznałam Siostry Karmelitanki Bose z Łasina. To był kolejny niespodziewany dar od Pana Boga, dar, wraz z którym tyle dobra, radości wnikało w moje życie; który wydobył najgłębszy jego sens prowadząc do złożenia przeze mnie ślubów świeckiego Karmelu. Wszystko zaczęło się najprościej od wymiany listów. Jakże ja czekałam na te listy od Sióstr, a potem po wielokroć każdy czytałam... Stopniowo coraz bardziej poznawałam duchowość karmelitańską i coraz bardziej mnie ona pociągała. Dużo czytałam (raczej mi czytano, bo sama miałam problemy z utrzymaniem książki i z czytaniem) – św. Teresę od Dzieciątka Jezus, bł. Elżbietę od Trójcy Świętej, św. Jana od Krzyża i św. Teresę od Jezusa. To było znalezienie du-

chowego domu. Po około dwóch latach znajomości z Siostrami, nastąpił moment, którego pragnęłam przez bardzo wiele lat mojego życia, a który wydawał się czymś zupełnie nierealnym w mojej sytuacji. Leżąc na noszach, w kaplicy łasińskiego klasztoru, złożyłam śluby Świeckiego Zakonu Karmelitów Bosych. To była chwila, w której pełniej odnalazłam swoją tożsamość. Nieprawdopodobnie ważne było dla mnie to, że moje pragnienie oddania wszystkiego w życiu Panu Bogu, zostało przyjęte przez Kościół i przez rodzinę karmelitańską. Czas przygotowania do złożenia ślubów, był zresztą kolejnym przełomowym momentem, w którym raczej przygotowywałam się na śmierć niż do dalszego życia. Okazało się, że mam guza piersi, który według wstępnej diagnozy postawionej na podstawie biopsji, wymaga natychmiastowej operacji. Największy problem w mojej sytuacji stanowiła narkoza, która mogła spowodować zagrożenie życia. Byłam tego świadoma jadąc do szpitala, a lekarz anestezjolog, zdenerwowany decyzją o operacji, powiedział mi to wprost tuż przed jej rozpoczęciem. Po śródoperacyjnym zbadaniu wycinków okazało się, że pierwsza diagnoza była błędna, guz nie jest złośliwy i wystarczy usunięcie go z miejscowym znieczuleniem. Narkoza nie była potrzebna i niebezpieczeństwo zostało zażegnane. To kolejne, tak realne w moim odczuciu, stanięcie w obliczu śmierci, jest dla mnie tajemnicą, ale i wielkim bogactwem, którym zostałam obdarowana.

8 grudnia 1998 w toruńskim Seminarium Duchownym rozpoczynała się nowenna o łaskę beatyfikacji jego patrona, Sługi Bożego ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego. Zapytano mnie, czy chciałabym, żeby w trakcie tej nowenny modlono się także o łaskę odzyskania zdrowia dla mnie. Jest taka praktyka, że prosząc Pana Boga o potwierdzenie przez Kościół heroiczności, świętości czyjegoś życia, prosi się zarazem o jakąś łaskę za przyczyną tej osoby. Zawsze podchodziłam z ogromną rezerwą do sytuacji, w których proponowano mi jakieś specjalne modlitwy o uzdrowienie. W ciągu wszystkich lat choroby, poza tym kiedy prosiłam o sakrament chorych, dwa razy zgodziłam się na takie modlitwy i to raczej ze względu na nieustępliwość osób proponujących, niż na własne przekonanie czy pragnienie. Tym razem, w sposób zupełnie do mnie niepodobny, zgodziłam się natychmiast z głęboką pewnością, że bardzo tej modlitwy pragnę. Wątpliwości i rozterki przyszły później, ale ten pierwszy moment i kontekst wydarzeń ostatnich miesięcy, dawały mi poczucie, że nie wolno mi się wycofać z raz podjętej decyzji.

8 grudnia 1998, a dokładnie już w wigilię święta Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, rozpoczęła się nowenna, do której oprócz seminarzystów włączyły się także Siostry Karmelitanki Bose z Łasina oraz cała moja rodzina. Odmawialiśmy ją w domu wspólnie każdego wieczoru. W czwartek, 10 grudnia, około godziny siedemnastej poczułam zdecydowane przynaglenie, żeby spróbować poruszyć nogami. Początkowo pomyślałam, że to pewnie jedynie suggestia spowodowana trwającą modlitwą – niewiele wcześniej mama przekładając mnie musiała walczyć ze zwykłą sztywnością mojego ciała. Jednak myśl była natarczywa i nie opuszczała mnie, więc po upływie około pół godziny zdecydowałam się spróbować. Okazało się, że jestem w stanie samodzielnie ruszać nogami, zginać je prawie w pełnym zakresie ruchów zarówno w stawach kolanowych, jak i biodrowych, co od 1995 r. było zupełnie niemożliwe. Minimalne zgięcie w tych stawach udawało się osiągnąć tylko na krótką chwilę przy użyciu dużej siły przez przynajmniej dwie osoby, jak to próbowano robić w czasie rehabilitacji. Mogłam też unosić głowę i samodzielnie przekręcać się z boku na bok, czego także chwilę wcześniej nie byłam w stanie zrobić. Objawy choroby ustąpiły w jednym momencie, a jedynie osłabione mięśnie wymagały rozruszania, wzmocnienia. Zaczęłam sama jeść, mogłam siedzieć każdego dnia dłużej. Mimo przeszło 3 lat leżenia miałam jedynie bardzo nieznaczne dolegliwości krążeniowe (zawroty głowy) związane z nagłą pionizacją.

W środę 16 grudnia kończyła się nowenna, a dla mnie był to kolejny przełomowy dzień. Trzeba było podjąć decyzję odstawienia lekarstw, bez których przez poprzednie 3 lata nie mogłam funkcjonować, i które przez cały ten czas przyjmowałam systematycznie co osiem godzin. Zdając sobie sprawę, że skutków jakie może wywołać nagłe ich odstawienie, bardzo się tego bałam. Jednak dalej łykając je, odmawiałam Panu Bogu zaufania, zachowywałam się tak, jakbym Mu nie dowierzała i chciała się asekurować. Jak to słusznie powiedział jeden z księży, jeśli już wyszłam z łódki jak św. Piotr, idący po wodzie do Jezusa (Mt 14, 22-33), to muszę teraz z całą ufnością patrzeć w Jego oczy i iść dalej, bo inaczej utonę. Nie można niby chcieć iść, a jednocześnie trzymać się burty łodzi. Po wspólnej modlitwie kończącej nowennę byłam już spokojna i pewna podjętej decyzji. Tak akurat się złożyło, że pierwsza dawka, której miałam nie połknąć wypadła na 12.00 w nocy. To stanowiło dla mnie dodatkowe źródło lęku. Miałam taką pokusę, że bezpieczniej

może przeprowadzić całą tę operację w dzień, kiedy łatwiej byłoby mnie ratować, gdybym zaczęła się dusić. Była to jednak z pewnością pokusa, bo tak naprawdę ufać można całkowicie albo wcale. Powiedzenie Panu Bogu, że zaufam Mu o 8.00 rano, a o 12.00 w nocy nie, byłoby w tamtej sytuacji całkowitym zaprzeczeniem jakiegokolwiek ufności. O północy nie wzięłam więc już lekarstw i nie odczułam z tego powodu żadnych dolegliwości ani komplikacji.

W święta Bożego Narodzenia mogłam już bez problemu wiele godzin siedzieć, a 1 stycznia 1999 zaczęłam stawać i robić pierwsze kroki. Mimo że wiele lat siedziałam na wózku, a potem leżałam, wszystkie moje stawy miały pełną ruchomość. Trudność w chodzeniu powodował przykurcz ścięgien Achillesa, który z czasem samoistnie całkowicie ustąpił. Początkowo potrzeba było trochę ostrożności i cierpliwości w trenowaniu chodzenia ze względu na osłabienie mięśni. Już jednak po niedługim czasie od momentu uzdrowienia, nikt, kto wcześniej mnie nie znał, nie odgadłby, że cokolwiek mogło mi dolegać. Jedyne słowo na określenie tego, co stało się moim udziałem, to TAJEMNICA. Pan Bóg tak to w Swojej Mądrości zamierzył i On jeden wie, dlaczego takimi drogami toczy się moje życie. Niektóre jego wątki może odgaduję, wyczuwam, ale w głębi serca zostawiam Bogu prawo do zachowania przede mną tej Jego Tajemnicy. On Sam zna czas i miejsce, On Jeden wie... W dniu rozpoczęcia nowenny, przewidzianą przez Kościół Ewangelią, był fragment ze św. Łukasza opisujący, jak czterech ludzi przyniosło na noszach kogoś sparaliżowanego do Pana Jezusa. Z powodu tłumy nie mogli go unieść, więc odkryli dach i spuścili chorego przed Jezusa przez dach. Jezus „widząc ich wiarę, rzekł: Człowieku, odpuszczają ci się twoje grzechy”. Odgadując jednak myśli uczonych w Piśmie i faryzeuszy, którzy obserwowali całą scenę, wiedział, że posądzali Go oni o bluźnierstwo. Jako znak, że prawdziwie ma moc odpuszczania grzechów, powiedział do sparaliżowanego: „Wstań, weź swoje łoże i idź do domu. I natychmiast wstał wobec nich, wziął łoże, na którym leżał i poszedł do domu, wielbiąc Boga” (Łk 5,17-26). Ta scena jest mi bardzo bliska, oddaje to, co i ja przeżyłam. Po pierwsze, naprawdę czuję się przyniesiona przed Jezusa wiarą innych. Tych, którzy zainicjowali i prowadzili nowennę, ale też i moich najbliższych i przyjaciół, których modlitwa otaczała mnie przez lata. Niemało się oni wszyscy natrudzili, niosąc mnie w swoich sercach i „niosąc” mnie tak fizycznie, przez całe lata opieki nade mną. To, co najgłębiej odczułam w momencie

uzdrowienia, to doznanie Bożego Miłosierdzia, w którym samo fizyczne uzdrowienie jest zewnętrznym znakiem, a najważniejsze jest dotknięcie serca, owe „odpuszczają ci się twoje grzechy”. Myślę, że paradoksalnie wszystkie lata choroby, były w jakimś sensie takim powolnym procesem wewnętrznego uzdrawiania, który z Bogu tylko znanych zamysłów, prowadził do tego, co wydarzyło się w grudniu 1999. Cały ból i cierpienia tych lat, wiodły do zawierzenia wszystkiemu Bogu, powoli i cierpliwie uczyły tego zawierzenia, pokładania w Nim całej nadziei, ufności, a to właśnie jest droga wewnętrznego uzdrawiania. Ileż jej etapów jeszcze przede mną – wewnętrzne dojrzewanie jest wzrastaniem w postawie zawierzenia Bogu, a ono do ostatniej chwili życia podlega różnorodnym próbom.

Nie sposób zapomnieć pierwszych chwil po odzyskaniu zdrowia, pierwszych kroków uczynionych po tylu latach siedzenia na wózku i leżenia, pierwszego spaceru po dworze, czucia ziemi pod stopami... Ogromnie wiele przeżyć. Mimo, że teraz chodzenie stało się dla mnie z powrotem czymś naturalnym, nadal zdumiewa mnie każdy uczyniony krok. Właściwie znak uzdrowienia, którego doznałam, wydaje mi się teraz cudem zupełnie na równi z cudem każdego oddechu, każdego kroku. Po prostu życie jest cudem, czymś darmo danym przez Stwórcę i w każdej chwili przez Niego podtrzymywanym. Zasadniczo rozumiemy przez cud, coś, co zaistniało dzięki nadzwyczajnej ingerencji, która przekroczyła prawa natury. Czyż jednak same te prawa, ich funkcjonowanie nie są cudem? Czymś nadzwyczajnie przez Boga stworzonym?

„Ty bowiem utworzyłeś moje nerki,
Ty utkaleś mnie w łonie mej matki.
Dziękuję Ci, że mnie stworzyłeś tak cudownie,
godne podziwu są Twoje dzieła.
I dobrze znasz moją duszę,
nie tajna Ci moja istota,
kiedy w ukryciu powstawałem,
utkany w głębi ziemi.” (Ps 139,13-15)

Na koniec chcę napisać choćby w krótkich słowach o tym, którego pośrednictwo, jak głęboko wierzę, sprawiło, że jestem teraz zdrowa – o ks. Stefanie Wincentym Frelichowskim. Zaledwie dwa lata po święceniach kapłańskich, w pierwszych dniach wojny został aresztowany i przez toruński Fort VII, a potem Nowy Port, Stutthof, Grenzdorf, Sachsenhausen przewieziony do Dachau. Spędził w obozach pięć i pół roku, od 17 października 1939, do dnia śmierci – 23 lutego 1945, dwa miesiące przed wyzwoleniem obozu przez alianców. Zmarł mając zaledwie 32 lata. To wszystko są su-

che dane, które jednak stają się wiele mówiące, gdy uświadomić sobie, co za nimi stoi. Jaka droga, ile przeżyć młodego człowieka.

Rodzina i bliscy nazywali go Wickiem. Jak napisał gdzieś w swoim pamiętniku, pewnie w latach szkolnych, miał przezwisko „Wesołek”. Był bardzo żywy i radosny z usposobienia, ale zarazem wrażliwy i podchodzący poważnie do zadań życiowych, które były mu powierzone. Z pamiętnika, który pisał przez ostatnie lata szkoły i w czasie pobytu w seminarium, widać jak bardzo nad sobą pracował. Pisał ten pamiętnik bardzo szczerze, nie omijając spraw trudnych, ciężkich życiowych rozterek, wahań, zwątpień. I jedna rzecz jest uderzająca – choćby nie wiem jak źle mu było na duszy, wszystkie te swoje przeżycia odnosił do Pana Boga, u Niego szukał światła i dalszej drogi. Był radosny z usposobienia, ale nie poprzestał na tym, co przychodziło łatwo, bo wynikało z natury. „Będę radosny” – to był jego życiowy program, jak to napisał w notatkach z rekolekcji w seminarium: „Trzecią naukę, ostatnią poświęcił ojciec rekolekcjonista radości, wesołości. Nawiązał w tym zupełnie do mych poglądów, ale spostrzegłem, że można mieć taki pogląd, można uznawać słuszność wesołości we wszystkim, namawiać do tego drugich, ale samemu jednak czasami dopuszczać smutek, a nawet ponurość. Nie będę tego czynił. Ale nawiążę do mego usposobienia podatnego na wesołość, radość, do mego przezwiska koleżeńskiego „Wesołek”, a szczególnie będę pamiętał, że Bóg jest radością, bo jest pełnią bytu. Smutek to oznaka, że czegoś brak. A ja chcę się upodobnić do Boga. Dlatego



Joanna po uzdrowieniu, rekolekcje dla chorych na SM

muszę być zawsze i do każdego wesołym.” I można by powiedzieć, że to naturalne u młodego chłopaka, taka myśl i takie postanowienie. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, że konsekwentnie wcielał je w życie, będąc przez przeszło pięć lat katowany i deptany w obozie

koncentracyjnym, wtedy cała rzecz nabiera innego wymiaru. Jego koledzy kapłani, współwięźniowie, którzy przeżyli obóz, a byli od niego starsi, dojrzałsi, mówili wprost, że wiele razy Wicek uratował im życie. Kiedy już byli u kresu wytrzymałości i mieli chęć rzucić się na obozowe druty, żeby z sobą skończyć, postawa ks. Wicka, podtrzymanie na duchu z jego strony, to jakim był, co mówił, a przede wszystkim jego ciągle pogodne, w całym obozowym piekle, spojrzenie, sprawiały, że jakoś wracała nadzieja, przychodziła otucha, mieli siłę dalej żyć. Myślę, że to może być ważne dla każdego z nas, niezależnie od tego, w jakiej jesteśmy sytuacji, uświadomić sobie, ile może jedno nasze spojrzenie, jeden uśmiech, szczególnie wtedy, gdy nam samym jest trudno. Ale to nie przychodzi samo, czasem ten jeden uśmiech wymaga prawdziwego heroizmu. Bywa tak, że nie mamy już praktycznie żadnej władzy nad naszym ciałem, nie jesteśmy w stanie ruszać ani nogami, ani rękoma, ani głowy podnieść, ani nawet mówić, ale możemy się jeszcze uśmiechnąć...

Od czasu święceń kapłańskich ks. Wicek nie pisał już w zasadzie pamiętnika. Wiele jednak wiadomo o jego rocznej posłudze jako wikarego w parafii Najświętszej Maryi Panny w Toruniu od osób, które go znały. W pamięci ludzkiej został jako kapłan ogromnie wrażliwy na cierpienie, czy to duchowe, czy fizyczne i w każdej takiej sytuacji śpieszący z pomocą. Chorzy z terenu parafii często prosili, żeby to właśnie on do nich przychodził. Czynił to zresztą chętnie i częściej niż wynikało z ustalonego harmonogramu. W obozie pielęgnując chorych i niosąc im kapłańską posługę, wycieńczony, sam zaraził się tyfusem i zmarł. Kiedy inni mówili, że trzeba za wszelką cenę przetrwać, co jest przeciw naturalnym dążeniom człowieka, ks. Wicek mówił całym swoim życiem – jestem kapłanem i całego siebie chcę oddać, żeby moją posługę tu i teraz wypełnić. I wypełnił ją do końca, do oddania życia za braci... Takiego ks. Wicka spotkałam w mojej chorobie – takiego jak opisują go świadkowie, którzy zetknęli się z nim za życia – kiedy widział czyjeś cierpienie przychodził zaraz by pomóc, by „podtrzymać na duchu i by dusze zbawić”. Dużo jeszcze chciałabym o nim napisać, ale pewnie tym razem trzeba już kończyć. I tak chyba nad miarę się o wszystkim rozpisałam...

Wiem, że wiele osób zaskoczyła moja decyzja wstąpienia po uzdrowieniu do Karmelu. Dla mnie jest ona z jednej strony oczywistym krokiem, do którego wszystko prowadziło, a z drugiej tajemnicą, której po ludzku nie sposób jest ogarnąć. Jedno chcę tylko powiedzieć – nie uciekłam tu przed światem, który po ty-

lu latach zamknięcia w domu mógł stać się dla mnie za trudny i obcy. Nie uciekłam też przed trudem pracy – np. w PTSR, do której zawsze potrzeba kolejnej pary rąk. Tak jak przez wiele lat wiedziałam, że moim miejscem jest być dla innych w działaniach, które podejmowałam, tak teraz moje bycie dla innych jest tutaj, przed Tabernakulum. To wszystko, co przeżyłam, jest we mnie. W głębi serca nie umiem powiedzieć o chorych „oni”, tak realne są we mnie doznania kogoś, kogo życie i egzystencja wiszą na włosku, kto jest całkowicie zależny od innych, kto żyje w ciągłej niepewności, czym go choroba jeszcze zaskoczy. I właśnie z tym poczuciem w sercu trwam tu przed Panem Jezusem, oddaję Mu moje małe codzienne trudy i mówię o bólach i problemach osób chorych, których los, mimo zmiany mojej sytuacji, pozostał nadal we mnie wpisany. Proszę za wszystkimi, którzy się mną opiekowali, z którymi wspólnie coś tworzyliśmy, którzy są moimi przyjaciółmi, czy których w ogóle nie znam... „Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami – wyrocznia Pana. Bo jak niebiosy górują nad ziemią, tak drogi moje – nad waszymi drogami i myśli moje – nad myślami waszymi.” (Iz 55, 8-9) Często tych Bożych dróg nie pojmujemy, ale nie wolno zaprzestać ich szukać. Czasem trzeba nam nimi iść w zupełnych ciemnościach, ale zawsze ku Nadziei Zmartwychwstania.

Joanna, Karmel – Łasin, 18.11.1999

Post Scriptum.

Powyższy tekst pisałam z myślą o osobach niepełnosprawnych, szczególnie o chorych na SM, co może wyjaśnia dlaczego takie, a nie inne wątki zostały bardziej wypukłone. Inne trochę z powodu braku czasu, trochę żeby zbytnio nie rozwlekać – nie zostały nawet wspomniane, mimo, że patrząc wstecz uważam je za coś bardzo dla mnie ważnego. Tego typu świadectwa nigdy zresztą nie są pełne ani wyczerpujące, choćby dlatego, że życie zawsze jest bogatsze od tego, co jesteśmy w stanie na jego temat powiedzieć.

Jednym z takich ważnych, a pominiętych elementów było moje odkrywanie swojego miejsca w Kościele. Duże znaczenie w tym względzie miały małe wspólnoty – najpierw Ruchu Światło-Życie, potem Odnowy w Duchu Świętym, a wreszcie Wspólnoty Życia Chrześcijańskiego. One to pozwoliły mi odkryć żywy Kościół, piękno jego Tradycji, Liturgii, jego Powszechność. Innymi słowy odkryć Kościół, którego Centrum i Głową jest Chrystus „ten sam wczoraj, dziś i na wieki”.

Wzrastałam w rodzinie, w której po prostu nasiąkało się wiarą. Mimo to, kiedy miałam 14-15 lat, mu-

siałam przejść proces uznania za własne tego, co przyjął jako tradycję, choć było to czymś równie oczywistym jak oddychanie (porównanie może nieco niedoskonałe po moich doświadczeniach duszenia się). Nastąpiło to właśnie we wspólnocie oazowej. Wcale jej sama z siebie nie szukałam. Jakies powiedziane przez księdza katechetę zdanie sprawiło, że całkiem „przy padkiem” (w każdym razie nie po to, żeby się modlić) znalazłam się w kościele, akurat kiedy młodzież uczestnicząca w „Oazie modlitwy” (trzydniowych rekolekcjach) adorowała Najświętszy Sakrament. Odczucia towarzyszące tej chwili do dziś pamiętam i to, co wtedy przeżyłam, przypomina mi słowa wypowiedziane przez uczniów, którzy spotkali Chrystusa w drodze do Emaus – „czyż nie pałało w nas serce...?”.

Życie naszej oazowej wspólnoty ogniskowało się wokół Eucharystii, Słowa Bożego i bardzo było wtopione w życie całej parafii. To były mocne fundamenty budowania osobistej pobożności każdego z nas, ale też fundamenty, na których opierały się nasze wzajemne relacje, przyjaźnie. Można powiedzieć, że dla nas młodych, była to szkoła przyjaźni, która nie opiera się na tym, co powierzchowne, nie jest zaborcza, a zawsze chce dawać, udzielać siebie drugiemu. Myślę, że całe moje doświadczenie tamtego okresu, było fundamentem, do którego, mniej lub bardziej świadomie, odwoływałam się w różnych trudnych chwilach. Szczególnie w okresie samych początków choroby, kiedy nie byłam związana z żadną konkretną wspólnotą i kiedy szukając ratunku w tym szoku nowej sytuacji, zaczęłam też szukać wspólnoty. Dzięki moim przyjaciółom trafiłam do grupy Odnowy w Duchu Świętym. Tak jak teraz bym określiła główne znaczenie tego okresu, to było nim odkrywanie mocy modlitwy, która daje siłę do życia, bycia dla innych mimo choroby, do pracy wśród chorych w PTZR – po prostu pomaga odrywać się od siebie, nabierać dystansu do spraw, które inaczej mogłyby człowieka powalić. Był to też dla mnie czas początków odkrywania wartości kierownictwa duchowego. Wreszcie, to właśnie Odnowa doprowadziła mnie do Ćwiczeń ignacjańskich, tak że po pewnym czasie przeszłam do WŻCh.

Z konieczności piszę o wszystkim bardzo skrótowo, dlatego jedną tylko może rzecz w związku z moją drogą przejścia Ćwiczeń chciałabym zaznaczyć. Odprawienie czterech tygodni zajęło mi niemal 10 lat. Jest to dla mnie namacalny znak, że prawdą jest to, co zawsze podkreślają prowadzący, iż Ćwiczenia to nie tylko osiem dni rekolekcji, ale że odprawia się je całym życiem. Na ludzki rozum wprost nieprawdopodobnie poszczególne etapy rekolekcji łączyły się z tym, co

przechodziłam w życiu. Widzę to dopiero teraz, na bieżąco nie zawsze było to tak jasne, choć momentami i wtedy bywało uderzające. Kiedy właśnie miałamjechać na III Tydzień, znalazłam się w szpitalu całkiem sparaliżowana, dusząc się i wiele razy ocierając o śmierć. Trochę żartem mówiłyśmy sobie wtedy z Kasią, że zamiast rekolekcji, mam III Tydzień w praktyce... Ostatecznie odprawiłam go razem z IV już po uzdrowieniu, niecałe dwa miesiące przed wstąpieniem do Karmelu. Byli tacy, co mówili – po co ci te rekolekcje, na chwilę przed wstąpieniem. Ja jednak czułam głęboką potrzebę odprawienia ich i naprawdę okazały się ważne. Czy może coś piękniej doprowadzić pod bramy Karmelu niż kontemplacja „Ad amorem”?

Wspólnota WŻCh była mi wsparciem w ogromnie trudnym czasie mojego życia. Bycie w niej to dla mnie nie tylko pewna droga duchowa, ale bardzo szczególne więzi, z niektórymi zwłaszcza jej członkami, i wspólne przechodzenie różnych etapów mojego balansowania na granicy życia i śmierci. To też takie chwile jak ta, kiedy po przeszło pół roku wróciłam „na leżać” ze szpitala do domu i mogłam po raz pierwszy po tym czasie i po wszystkich jego doświadczeniach uczestniczyć we Mszy Świętej...

Potem nastąpił moment, kiedy musiałam wrócić z Warszawy do Torunia. Mój stan zdrowia i ducha był taki, że mimo istnienia w Toruniu WŻCh, wejście w nową wspólnotę było niemożliwe, a właściwie nawet nie odczuwałam już takiej potrzeby (choć poszczególni członkowie toruńskiej WŻCh natychmiast byli chętni do pomocy, ba nie tylko chętni, ale bardzo konkretnie się w opiekę nade mną włączyli). To był czas bycia samej przed Nim Samym i wielkiego pragnienia życia łaską sakramentu pojednania i Eucharystią. Po ludzku rzecz wydawała się kompletnie niemożliwa, a w każdym razie nic ponad odwiedzin księdza z parafii raz w miesiącu. Ale przecież Bóg jest Panem rzeczy niemożliwych i odpowiedział na to pragnienie serca z hojnością przewyższającą wszelkie moje spodziewania, tak że mogłam przystępować do Komunii św. codziennie, a co niedziela uczestniczyć we Mszy św. odprawianej w domu, doznawać uzdrawiającej mocy sakramentu pojednania połączonego z kierownictwem duchowym. Wtedy też odnalazłam duchową wspólnotę Karmelu.

Patrząc wstecz widzę jasno, jak na każdy czas życia Pan Bóg dawał mi coś na ten czas potrzebnego. Różne wątki – niby niezależne, okazywały się niespodziewanie misternie splatać. Dary, które Pan Jezus daje we wspólnotach i poprzez nie, są etapami jednej drogi – poprzez Kościół do Niego Samego.

J.G.

PIELGRZYMKA JUBILEUSZOWA WŹCH W POLSCE

W dniach 28-30 kwietnia 2000r. kaliska wspólnota lokalna gościła uczestników ogólnopolskiej pielgrzymki jubileuszowej WŹCh. Zaproszono wszystkich członków i asystentów naszej wspólnoty razem z rodzinami i przyjaciółmi. Przyjechało 150 osób. Reprezentowane były prawie wszystkie ośrodki lokalne.

Celem pielgrzymki było spotkanie całej wspólnoty, przyjęcie łaski Roku Jubileuszowego – łaski pojednania i przebaczenia – oraz ożywienie osobistej i wspólnotowej więzi z Jezusem Chrystusem. Program od strony merytorycznej przygotowali i realizowali członkowie Rady Wykonawczej oraz Asystent Narodowy o. Ryszard Friedrich SJ. Dzieciom w wieku przedszkolnym i szkolnym zapewniono opiekę i specjalnie dla nich przeznaczone zajęcia.

Spotkanie odbywało się w Domu Rekolekcyjnym Księża Jezuitów i w Sanktuarium Serca Jezusa Miłosiernego, gdzie odprawiono wszystkie Eucharystie, głoszono konferencje oraz prowadzono wspólną modlitwę. Organizatorzy zadbali także o nasz wypoczynek; niedzielne popołudnie spędziliśmy w pobliskim Gołuchowie

Nasza pielgrzymka rozpoczęła się i zakończyła Eucharystią. W piątkowy wieczór dziękowaliśmy Bogu za łaski, za to wszystko, co otrzymaliśmy jako wspólnota narodowa, lokalna, podstawowa oraz jako jej uczestnicy. W niedzielę rano, razem z pielgrzymami zebranymi w Sanktuarium Serca Jezusa Miłosiernego, uczestniczyliśmy we Mszy Świętej odpustowej odprawionej pod przewodnictwem ks. Bpa Stanisława Napierały. Była to Niedziela Miłosierdzia Bożego Roku Jubileuszowego. Prawie w tym samym czasie Ojciec Święty kanonizował w Rzymie siostrę Faustynę. W Kaliszu świadectwo o swoim spotkaniu z siostrą Faustyną w Wilnie w 1934 r. składała, była sodalistka. Duchowo łączyliśmy się z wszystkimi czcicielami Bożego Miłosierdzia.

Sobota była dniem skupienia wypełnionym refleksją, modlitwą, pracą w grupach. W bloku przedpołudniowym staraliśmy się przyjąć pojednanie i przebaczenie w naszej wspólnotcie, przebaczyć i prosić o przebaczenie siostry i braci, w bloku popołudniowym zastanawialiśmy się, jak nieść pojednanie światu. W programie tego dnia pojawiły się konferencje, refleksja osobista, spotkania w grupach, modlitwa wspólna, Adoracja Najświętszego Sakramentu. W pracach piętnastu grup dzielenia uczestniczyło tego dnia 130 osób. Kulminacyjne punkty to: poranna liturgia pojednania, w czasie której każdy uczestnik spotkania miał okazję pojednać się z członkami własnej wspólnoty; przebaczyć i prosić o przebaczenie osoby,

wobec których czuł się winnym, a także wieczorna Eucharystia, kiedy reprezentanci każdej wspólnoty podstawowej szli w procesji złożyć na ołtarzu dar – symbol zaangażowania i wierności Bogu. Niektórzy z nas dopiero wtedy uświadomili sobie, jak liczne są nasze wspólnoty i jak wiele dobrego czynią w swoich środowiskach. Ta niekończąca się procesja, słowa padające przy ołtarzu pokazały, w jak wielu miejscach zaangażowani są członkowie naszej wspólnoty, jak wiele prac podejmują. Było to świadectwo naszego apostołstwa. Bardzo ważna chwila dla nas członków WŹCh oraz dla naszych rodzin i przyjaciół.

W niedzielę razem z innymi pielgrzymami złożyliśmy nasz wspólny dar w czasie Eucharystii odpustowej.

Niedziela to czas odpoczynku, wspólnego świętowania, spotkaliśmy się w Stanicy Harcerskiej nad zalewem w pobliskim Gołuchowie. Było miejsce na podsumowanie, złożenie świadectwa, rozmowy, spotkania w grupach nieformalnych. Dzieci popisywały się tym, co przygotowały w czasie sobotnich zajęć. Wszyscy bawiliśmy się wspólnie z nimi. Gospodarze z Kalisza przygotowali napoje i ciasta, zaprosili na obiad do szkoły w Gołuchowie. Nie zabrakło też końcowej modlitwy i błogosławieństwa na rozesłanie. Po obiedzie była okazja zwiedzenia parku, spotkania z żubrami, spaceru pod opieką przewodnika.

Spotkanie w Kaliszu jeszcze raz pokazało, jak bardzo potrzebujemy takich kontaktów. Wielu z nas mogło odnowić stare znajomości, dowiedzieć się, co słychać u dawno niewidzianych przyjaciół. Inni poznawali członków wspólnot z różnych miast. Była okazja, aby porozmawiać, wymienić doświadczenia, spotkać się, poczuć prawdziwą wspólnotą chrześcijańskiego życia.

Dziękujemy Wspólnocie Kaliskiej za zorganizowanie pielgrzymki, za ogrom pracy włożonej w to dzieło, o. A. Jacyniakowi za gościnne udostępnienie nam Domu Rekolekcyjnego, który prowadzi i ciepłe przyjęcie. Dziękujemy też wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do tego, że nasza pielgrzymka mogła się odbyć. Szkoda, że spośród naszych asystentów tylko o. Ryszard Friedrich, o. Zygfryd Kot, o. Aleksander Jacyniak i o. Edward Torończak razem z nami byli obecni w Kaliszu. Dziękujemy im za ich posługę, za to że towarzyszyli nam w tym ważnych chwilach.

Do zobaczenia na następnym ogólnopolskim spotkaniu Wspólnoty Życia Chrześcijańskiego. Kiedy? Może już za rok...

Danuta Dworakowska, Warszawa

POJEDNANIE I PRZEBACZENIE

W roku Wielkiego Jubileuszu chrześcijaństwa Ojciec Święty wezwał cały Kościół do oczyszczenia pamięci i głębokiego nawrócenia. W orędziu na Wielki Post Papież powiedział: „Jubileusz to czas łaski: zostajemy w nim wezwani, aby w szczególny sposób otworzyć się na miłosierdzie Ojca, który w swoim Synu

pochylił się nad człowiekiem, i na pojednanie, wielki dar od Chrystusa. Rok ten winien zatem stać się dla chrześcijanina, a także dla wszystkich ludzi dobrej woli, cenną sposobnością do doświadczenia odnawiającej mocy Boga, który obdarza przebaczeniem i pojednaniem”.

To wezwanie Ojca Świętego do uznania własnych win oraz win i błędów Kościoła zostało podjęte przez ludzi tworzących dzisiejszy Kościół. Pierwsza niedziela Wielkiego Postu stała się w Kościele Katolickim „Dniem Przebaczenia”. W homilii z tej okazji Jan Paweł II nawiązał do dokumentu Międzynarodowej Komisji Teologicznej pt. „Pamięć i pojednanie: Kościół i winy przeszłości”. Opublikowanie tego dokumentu pozwala lepiej zrozumieć odpowiedzialność Kościoła za winy przeszłości. Świadomość tej odpowiedzialności pobudza dzisiaj ludzi wierzących do uznawania win członków Kościoła – Mistycznego Ciała Chrystusa, popełnionych w bliższej i bardziej odległej przeszłości.

W pierwszą niedzielę Wielkiego Postu podczas „Modlitwy wiernych” zgromadzeni w Bazylice watykańskiej kardynałowie i biskupi wyznawali wraz z Ojcem Świętym winy Kościoła i modlili się o ich przebaczenie. Członkowie WZCh podejmowali temat pojednania w czasie rekolekcji jubileuszowych. Podczas obecnego spotkania w Kaliszu, stając przed obrazem Jezusa Miłosiernego, pragniemy również zastanowić się nad tym, co jeszcze wymaga pojednania w naszej historii, we Wspólnocie czy w Kościele, który tworzymy. W dalszej części spotkania będziemy modlić się o to, abyśmy przyjmując pojednanie, niesli je do naszych wspólnot i środowisk.

Każdy z nas nosi w sobie pragnienie przebaczenia i pojednania. Dlatego chcemy żyć jako ludzie pojednani z Bogiem, pojednani wewnętrznie i pojednani z innymi. Nie chcemy wznosić murów nieporozumień, niechęci czy wrogości. Wiemy jednak z własnego doświadczenia, że bez pomocy łaski Bożej nie jesteśmy zdolni z serca przebaczać innym i szczerze prosić o przebaczenie.

Duchowość WZCh, jak to jest ujęte w punkcie 5 Zasad Ogólnych WZCh, „*jest skoncentrowana na osobie Jezusa Chrystusa i uczestnictwie w Misterium Paschalnym*”. Misterium Paschalne jest tajemnicą przejścia Chrystusa przez mękę i śmierć do zmartwychwstania. W tym zbawczym wydarzeniu nasz Pan pojednał każdego z nas ze Swoim Ojcem. Jesteśmy zaproszeni przez Chrystusa do uczestnictwa w Misterium Paschalnym, ale to wymaga od nas trudu i wyrzeczeń oraz przewycięzania swojego egoizmu. To wymaga ufego pójścia za Jezusem i związania z Nim swojego losu oraz bycia „znakiem sprzeciwu” wobec świata obojętnego czy wrogiego Jego Ewangelii. Mamy świadomość, że jeszcze za mało żyjemy tajemnicą paschalną. Tak trudno jest nam uznawać swoje winy i przeproszać za nie, a jeśli spotka nas przykre doświadczenie czy krzywda zamykamy się w sobie i nie potrafimy zdobyć się na przebaczenie.

W tym roku Wielkiego Jubileuszu potrzeba, abyśmy otworzyli nasze serca na dar pojednania przez Chrystusa i w zjednoczeniu z Nim podjęli Misterium Paschalne. To Chrystus uzdalnia nas do pełnego przebaczenia. To Jego miłość, miłość płynąca z Krzyża jest źródłem, z którego możemy zawsze czerpać moc do przebaczenia i pojednania. Krzyż Chrystusa to znak i dowód rzeczywistego przebaczenia i pojednania, jakie się dokonało pomiędzy Bogiem i ludźmi. Krzyż Chrystusa jest więc jedyną drogą pojednania. Dlatego każde autentyczne przebaczenie i pojednanie przechodzi przez Krzyż Chrystusa i w Nim ma swoje źródło. Czy mam świadomość, że każde przebaczenie, którego doświadczyłem w moim życiu przeszło przez Jego Krzyż?

Autentyczne przebaczenie i pojednanie polega na przekraczaniu granic ludzkiej sprawiedliwości. Tym, co pozwala na

to przekraczanie jest miłość, ta duchowa moc, która jest z Boga i to Boga odrzucanego przez ludzi. Ucząc się przebaczać możemy czerpać z Bożego źródła – z Bożego miłosierdzia. Pojednanie jest bowiem czynieniem miłosierdzia, a więc do głosu dochodzi miłość, która pochyla się nad człowiekiem. To wcale nie oznacza, że godzimy się na zło. Najpierw jednak trzeba przyjąć człowieka w pełnej prawdzie – prawdzie o jego ludzkiej godności, a z drugiej strony nazwać zło, które on czyni. Przebaczenie, które czerpie z Bożego miłosierdzia nie oznacza więc pobłażliwości wobec zła, wobec wyrządzonej krzywdy czy zniewagi. Obiektywny wymóg sprawiedliwości domaga się naprawienia wyrządzonego zła.

Pełne pojednanie w naszych wspólnotach wymaga przebaczenia sobie nawzajem, że jesteśmy „właśnie tacy, a nie inni”, że toczy nas choroba indywidualizmu, że tak trudno nam ze sobą współpracować, że często nie stać nas na wielkoduszność i ofiarność wobec innych. Trzeba przebaczyć sobie i innym, że nasze rodziny i wspólnoty nie są takie, jak nasze wyobrażenia i oczekiwania, że jest wiele nieporozumień i niepotrzebnego narzekania czy wzajemnych żalów i nierozwiązanych konfliktów.

Przebaczenie to nie jest akt jednorazowy czy nawet uczyniony od czasu do czasu, lecz stała wewnętrzna postawa. Jezus pytany przez Piotra (ileż razy stawiam to samo pytanie): „*Ile razy mam przebaczyć, jeśli mój brat wykroczy przeciwko mnie? Czy aż 7 razy?*” – odpowiada wyraźnie: „*Nie mówię ci, że aż 7 razy, lecz aż 77 razy*” (por. Mt 18, 21-22). Chce przez to powiedzieć, że mam przebaczać każdemu i za każdym razem. Chrystus uczy nas właśnie takiej postawy przebaczenia. Jakże często prosimy Boga: „*Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom*”, a więc tym, którzy przeciw nam zawinili. Jak ważna jest postawa, którą te słowa wyznaczają i kształtują. Ile mówią o mnie, o drugim człowieku, ile mówią o naszej relacji. Zwykle jesteśmy coś sobie winni nawzajem!

Postawa przebaczenia jest szkołą pokory i dobrej woli współżycia z innymi na każdy dzień i w różnych sytuacjach naszego życia. „Przebaczam i proszę o przebaczenie” to jest właściwe podejście do drugiego człowieka. W przebaczeniu nie tyle chodzi o gesty zewnętrzne (choć i one są potrzebne), lecz o stałą postawę otwartości wobec drugiego człowieka.

Na zakończenie postawmy sobie kilka pytań: Z czym wkroczy każdy z nas, z czym wkroczy cała Wspólnota Życia Chrześcijańskiego w trzecie tysiąclecie? Czy próg nowego tysiąclecia chrześcijaństwa przekroczyliśmy jako ludzie, którzy kształtują w sobie stałą postawę przebaczenia i którzy czynią pojednanie w swoim otoczeniu? Czy nasza działalność apostołska będzie „posługą pojednywania” (por. 2 Kor 5, 18)?

Ojciec Święty wypowiedział słowa, które niech staną się dla nas zachętą do życia w pojednaniu: „*Przebaczający i gotowi przebaczać chrześcijanie wkraczają w trzecie tysiąclecie jako bardziej wiarygodni świadkowie nadziei*”. Obyśmy korzystając z łaski Roku Jubileuszowego stawali się coraz bardziej wiarygodnymi świadkami Chrystusa i Jego nauki.

Ewa Poleszak

(Tekst wystąpienia wygłoszonego w Kaliszu)

SZKOŁA ANIMATORA

Szkoła animatora powstała w grudniu 1999 r., jako odpowiedź na rozeznaną potrzebę przygotowania członków WŻCh do pełnienia funkcji koordynatora i animatora w grupach podstawowych. Biorą w niej udział osoby zarówno już odpowiedzialne za prowadzenie (formację) grup, jak i te, które chciałyby podjąć się tego zadania w przyszłości.

Program Szkoły zanim osiągnął ostateczną postać, był wielokrotnie modyfikowany, co wiązało się z ciągłym odczytywaniem potrzeb i pragnień otwartej na prowadzenie Ducha Świętego wspólnoty.

Trudu prowadzenia Szkoły podjęli się: asystent wspólnoty o. Edward Torończak SJ, animator wspólnoty lokalnej Elżbieta Gleba oraz koordynator do spraw studenckich Joanna Wójtowicz.

Spotkanie pierwsze (grudzień 1999) dotyczyło określenia funkcji animatora i koordynatora, zakresu ich kompetencji, charakteru formacji oraz sposobów radzenia sobie z trudnościami we wspólnocie.

Spotkanie drugie (styczeń 2000), stanowiące przedłużenie pierwszego, miało na celu analizę funkcji animatora i koordynatora na przykładzie Mojżesza, człowieka odpowiedzialnego, wybranego przez Boga, by budować wspólnotę. Ważne było tu umieszczenie siebie w konkretnej wspólnocie.

Tematem trzeciego spotkania (luty 2000) było rozpoznanie tożsamości WŻCh w oparciu o Zasady Ogólne oraz

pogłębienie znajomości i praktyk duchowości ignacjańskiej.

Spotkanie czwarte odbyło się w Dąbrowicy w dniach 25 i 26 marca 2000 roku. Oprócz osobistej i wspólnotowej modlitwy w programie spotkania przewidziano również czas na refleksję, na rozważenie i omówienie następujących tematów: „Wizja WŻCh, do której dążymy”, „Co buduje tożsamość wspólnoty, jej styl życia”, „Jakie elementy stylu WŻCh odkrywam dla siebie jako najważniejsze”, „Podstawowe aspekty formacji w WŻCh na poszczególnych etapach życia wspólnoty i określenie, na jakim etapie znajduje się moja wspólnota”. Zakończeniem części programowej wspólnego pobytu w Dąbrowicy była burza mózgów. Oto jej wyniki sformułowane w postaci planów, postulatów i propozycji dotyczących wspólnoty i Szkoły animatora: umacnianie jedności wewnątrz poszczególnych grup i całej wspólnoty poprzez spotkania całej wspólnoty lubelskiej, cotygodniową Eucharystię w kościele akademickim i wspólne adoracje Najświętszego Sakramentu; pogłębianie modlitwy w grupach; koordynowanie programu przygotowania Przymierza; powołanie do życia „grupy medialnej” odpowiedzialnej za ogłoszenia, za redagowanie materiałów, uczestnictwo w radach duszpasterstwa akademickiego; organizowanie zabaw tanecznych (WŻCh-otek).

**Na podstawie materiałów
nadesłanych z Lublina opracowała mg**

„DZIECI, CZY MACIE CO NA POSIŁEK?”

SPOTKANIE LUBELSKIEJ WSPÓLNOTY WŻCh W WANDZINIE

21 maja Jubileuszowego Roku 2000 był dla lubelskiej wspólnoty dniem szczególnym. Tego dnia, pomimo padającego od samego rana ulewnego deszczu, zebraliśmy się wszyscy w Wandzinie, aby wspólnie świętować Wielki Jubileusz. Wandzin to mała wioska położona ok. 20 km od Lublina, gdzie Duszpasterstwo Akademickie KUL ma małą drewnianą chatkę. Gromadzą się tam często studenci przynależący do różnych wspólnot DA.

Nasze spotkanie rozpoczęliśmy medytacją, której myślą przewodnią były spotkania Apostołów ze zmartwychwstałym Chrystusem. Szczególnie mocno oddziaływał na nas obraz cudownego połowu ryb i rozmowy Piotra z Jezusem (J 21, 1-19). Zaskoczeniem był fakt, że każdy cud dokonywany przez Jezusa nie miałby miejsca, gdyby nie aktyw-

ność Apostołów, gdyby nie ich działalność przygotowawcza. Jezus mówi do nich: „Przynieście jeszcze ryb, któreście teraz ułowili”. (J 21, 10) – a więc dajcie coś od siebie, coś całkowicie swojego, a wtedy dopiero będzie możliwe dokonanie cudu. Narzuca się pewna analogia ze sceną z wesela w Kanie Galilejskiej – tam też Jezus mówił: „Napełnijcie stągwie wodą, [...] zanieście staroście wesełnemu” (J 2, 7-8), dopiero potem było możliwe przemienienie wody w wino. Dostrzegliśmy więc sens naszego powołania apostołskiego – nasza aktywność i Boża łaska pozwolą nam uczynić wielkie dzieła. Trzeba jednak dać coś od siebie.

Centralnym punktem naszego spotkania była uroczysta Eucharystia, w czasie której dokonaliśmy ważnego wybo-

ru – złożyliśmy nasze Przymierze. Ma ono szczególny wymiar ze względu na to, że zawarliśmy je w Roku Łaski, w roku, w którym cały Kościół świętuje Wielki Jubileusz. My również, jako część tego Kościoła, obierając drogę Przymierza włączyliśmy się w to wielkie świętowanie. Dziewięć osób z naszej wspólnoty złożyło Przymierze po raz pierwszy, jedno małżeństwo zdecydowało się trwać w nim do końca życia, a bardzo wielu odnawiało je na kolejny rok. Poczuliśmy się prawdziwą wspólnotą zjednoczoną przez jednego Pana – Jezusa Chrystusa.

Był w Wandzinie i czas na strawę cielesną. Po Eucharystii czekała nas uczta przygotowana przez Grupę Małżeństw. Był bigos w kilku gatunkach, pyszne ciasta i dużo dobrej zabawy przy dźwiękach znanych przebojów duszpasterskich takich jak Tato (Nie boję się, gdy ciemno jest...) czy Święty uśmiechnięty. Radości ze wspólnego świętowania nie popsuł nam nawet deszcz, który dalej monotonnie dzwonił w szyby naszej chatki...

Wojciech Napruszewski
WŻCh Lublin

MAŁPIA PYCHA

CZYLI DLACZEGO CHRZEŚCIJANIE NIE LUBIĄ DARWINA

W roku 1925 w stanie Tennessee wytoczono nauczycielowi szkoły średniej proces za wykładanie darwinizmu i zaprzeczanie w ten sposób nauce biblijnej. Przeszłość? Niecały rok temu Rady Szkolnictwa stanów Kansas i Kolorado usunęły teorię ewolucji z wymaganego programu nauczania. W naszym kraju na początku lat 90-tych „Słowo” – dziennik, nota bene, katolicki, lansował polskie wydanie „Na bezdrożach teorii ewolucji” Johnsona. W książce tej możemy na przykład przeczytać: „*teoria ewolucji dała Lucyferowi doskonałą broń, przy pomocy której może on potrząsać podstawami chrześcijaństwa*” lub „*ewolucjonistyczny naturalizm wyrugował nadprzyrodzoność i stąd też obserwujemy załamanie się wartości moralnych*”. Inny przeciwnik Darwina napisał w roku 1975, że zwolennicy teorii ewolucji „*traktując człowieka jako zwierzę (...) popierają zwierzęce zachowania, takie jak wolna miłość, etyka sytuacyjna, narkotyki, rozwody (...)*. To wszystko zdewastowało moralność, zniszczyło nadzieję lepszego świata, zadecydowało o politycznym zniewoleniu miliarda czy nawet więcej osób”[1].

Hm... Uważam się za zwolennika teorii ewolucji, ale, przyznam, nie sądziłem, że zobowiązuje mnie to do popierania narkotyków i wolnej miłości. Cóż, życie nie jest łatwe.

Właściwie jednak dlaczego teoria ewolucji budzi taki sprzeciw wśród chrześcijan? Dlaczego chrześcijanie w imię wiary są skłonni potępiać jedną z wielu teorii naukowych? Kluczem jest chyba wypowiedź księdza, którą kiedyś usłyszałem podczas kazania, „Kto chce niechaj wierzy w tę teorię ewolucji, ale moja babcia nie była małpą”. No właśnie. Tak naprawdę nie chodzi tu o powstawanie gatunków drogą doboru naturalnego, co było przedmiotem publikacji Darwina. Głośnych obrońców chrześcijaństwa mało interesują mechanizmy ewolucji, badania nad jakimiś muszkami owocowymi, ciernikami czy amonitami. Tak naprawdę wszystko sprowadza się do pochodzenia czło-

wieka. Od małpy! Jeszcze żeby od kotka, pieska albo od papużki. Ale od tej owłosionej karykatury człowieka, jaką jest małpa? A fe!



Przesadnie ludzki wygląd orangutana na XVII-wiecznych rycinach

Przeciwnicy teorii ewolucji nie zdają sobie sprawy, że prawda jest jeszcze gorsza. Bo cóż znaczy słowo małpa? Słownik języka polskiego (1992) podaje następującą definicję: „*małpy – Anthrooidea, podrząd ssaków z rzędu naczelnych(...)*”. Dalej podrząd małp dzieli się na dwie grupy: małpy szerokonose i wąskonose. Wśród zaś wąskonosych znajduje się rodzina człowiekowatych, do której to należy nasz gatunek: Homo sapiens, człowiek ro-

zumny. Zgodnie więc z definicją nie tyle pochodzimy od małpy, co po prostu jesteśmy małpami!

Tego już za wiele. Przecież „*stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę*” (Rdz 1, 27). My, którzy jako jedyni na Ziemi posiadamy nieśmiertelną duszę, których Bóg wybrał do zarządzania światem, my mamy być małpami? Naszym bliskim krewnym ma być pokraczny szympanś i odrażający pawian? To nie tylko nas obraża, to obraża samego Boga jako Stwórcę! A stąd już niedaleko do zezwierzęcenia, etyki sytuacyjnej i załamania wartości moralnych.

Czyżby? „*Wtedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrza tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą*” (Rdz 2,7). „*Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz*” mówi ksiądz posypując nas popiołem w stronę popielcową. Uczy to nas pokory. A przynajmniej powinno. Bo jeśli tak zamiast słowa „proch” napisać „małpa”, pokora gdzieś się ulatnia. Ale dlaczego proch ziemi nie miałby być ciałem zwierzęcia? Dlaczego nie pozwalamy Bogu tchnąć tchnienie życia w nozdrza małpy? Dlaczego tak wzbraniamy się uznać, że Bóg dał duszę ciału małpy?

Moim zdaniem wszystkiemu winna jest pycha. Chrześcijanie niejednokrotnie woleli podkreślać wybranie czło-

wieka przez Boga niż ludzką małość. Woleli stawać na piedestale niż obok, w pyłe drogi. I tu chyba kryje się odpowiedź na postawione w tytule felietonu pytanie. Dlaczego chrześcijanie nie lubią Darwina? Bo udowodnił im (nam), że są ulepieni ze zwykłego prochu ziemi. Takiej zaś lekcji pokory nie przyjmuje się łatwo. A warto.

P. S. Gwoli ścisłości powinienem chyba wyjaśnić, że kwestia pochodzenia człowieka jest na tyle skomplikowana, iż krótkie sformułowanie „człowiek pochodzi od małpy” tak naprawdę nic nie znaczy. Genealogię naszego gatunku najlepiej można by przedstawić w postaci mocno rozgałęzionego drzewa rodowego. Wśród bliższych przodków Homo sapiens znalazłoby się tam kilka innych, już wymarłych gatunków z rodzaju Homo, a głębiej w dziejach trzeba by zaznaczyć parę gatunków australopiteków. Od każdej gałęzi odchodziłyby liczne gałęzki boczne, w tym również te prowadzące do szympanśa, goryla lub orangutana. Którego z tych licznych antenatów, krewnych i pociotków uznać za małpę, a którego za człowieka (czyli małpę z duszą) – tego nauka nie rozstrzygnie. Dusza nie zachowuje się w stanie kopalnym.

Wojciech Mikołuszko

[1] H. M. Morris, cytaty za: Życiński, *Ułaskawianie natury* Kraków 1992, str. 97

PONIDZIE WIOSENNE

Ponidzie w maju, delikatnie pofalowany horyzont otacza połączenie soczystości zielonych łąk i szachownic starannie uprawionych pól, w oddali wzgórza, a na nim szlachetna sylwetka gotyckiego kościoła fundacji Jana Długosza.



Menuet na łące nad Nidą

Zbliża się wieczór, słońce, które cały dzień niepodzielnie panowało nad tą spokojną, cichą krainą powoli łagodnieje, rumieni się. Na małym, pokrytym stepową roślinnością pagórku tabliczka „Rezerwat przyrody – ciekawe zjawisko geologiczne – jaskółcze ogony.” Tuż obok sarta ple-

caków, a dalej grupka 19 osób, które poroziały się wygodnie w trawie, wszystkie oczy zwrócone na krótko ostrzyżonego, siwiejącego mężczyznę o bystrym, przenikliwym spojrzeniu. „W tym miejscu znajdowała się paratetyda – zbiornik wodny, który został oddzielony pasmem łądu od oceanu – tetydy. Woda stopniowo parowała powodując wytrącanie się osadów, najpierw najslabiej rozpuszczalnych soli, stopniowo aż do najlepiej rozpuszczalnych. To co widzicie – mówi wskazując na chropowatą skałę o wzorze w kształcie jaskółczych ogonów, – to są kryształki gipsu”. Ktoś zadaje pytanie, rozwija się burzliwa dyskusja.

Nie, to nie były ćwiczenia terenowe z geologii, choć poziom wykładu i dyskusji mogłoby na to wskazywać.

O jaskółczych ogonach opowiadał Michał Ginter, pasjonat naukowca, badacz wymarłych rekinów, grupkę uważnie słuchających go osób tworzyli znajomi i przyjaciele Marty Pietrzak.

Cała zaś scenka jest bardzo żywym wspomnieniem z jednej z najbardziej udanych i najbardziej niezwykłych wypraw w moim bogatym turystycznym życiu.

A jak do tego wszystkiego doszło?

Ludzie odpowiedzialni za organizowanie życia społecznego zdają sobie sprawę jak trudno jest zintegrować

dwa obce sobie środowiska. Marta, wychowawca i nauczyciel w szkole Przymierza Rodzin i członkini Wspólnoty Życia Chrześcijańskiego także wiedziała, że nie jest to łatwe. Postanowiła jednak, mając świadomość starej zasady, która głosi, że „przyjaciele moich przyjaciół są moimi przyjaciółmi” podjąć ryzyko zorganizowania wyjazdu integracyjnego dla ludzi z dwóch środowisk, które są dla niej ważne. Sukces wydawał się trudny do osiągnięcia, nie tylko dlatego, że reprezentowaliśmy bardzo szerokie spektrum wykształcenia – od architekta i fizyków po polonistę, ale także różniliśmy się wiekiem – najmłodszy – świeżo upieczony wychowawca Przymierza mają po 17 lat, najstarsi zaś sporo ponad trzydzieści. Marta obawiała się, że mogą powstać odrębne grupki, kręcące się wokół własnych spraw i zamiast jednoczenia nastąpi polaryzacja.

Okazało się jednak, że wszystkie różnice budowały, a nie psuły atmosfery wyjazdu. Udało się nam znaleźć wspólny język i spędzić niezapomniane 5 dni. Po rajdzie



Do codziennego rytuału należało wspólne śpiewanie po kolacji. Tym razem w sali wiejskich spotkań w Biniątkach

wszyscy chętnie spotykają się ponownie, aby obejrzieć zdjęcia, pośpiewać, porozmawiać.

A to chyba dlatego, że wszyscy, choć mogli się wcześniej nie znać, nasiąknięci są podobnym stylem życia, na który składa się przede wszystkim wyznawanie własnej wiary we wspólnocie, ale także sprawy bardziej „przyziemne” – zamiłowanie do wspólnej wędrówki, do muzykowania, wielka ciekawość świata i chęć dzielenia się swoją wiedzą.

Właśnie te, wspólne wszystkim przyjaciołom Marty, cechy spowodowały, że różnice zamiast dzielić przyczyniały się do wzbogacania naszej wędrującej grupy. Byliśmy wyjątkowo „wielowymiarowi”.

Ludzie, których spotykaliśmy na drodze nazywali nas pielgrzymami, w godzinach wieczornych przeradzaliśmy się w towarzystwo śpiewacze, a oprócz tego, już po dwóch dniach ochrzcziliśmy się mianem „uniwersytetu perypateycznego (wędrującego) pod wezwaniem św. Ignacego z Loyoli”.

Każdy wzbogacał wyjazd tym, co miał najlepszego. Michał, a także Maciek dzielili się z nami swoją wiedzą fizyczną, ksiądz Paweł rozwiązywał zagadki związane z teologią, i o dziwo leśnictwem, Michał był niezastąpiony gdy chodziło o historię zarówno tę pre- jak i nie pre-, Piotr – rektor naszego uniwersytetu ubogacał nas niezrównanymi interpretacjami Puszkina i Żeromskiego, a także godnymi Sokratesa przemowami, które kierowały nasze myślenie na wyższe tory „Bosko w Busku powiadam!”. Maciek K. z Maćkiem W. przyczyniali się do godnej oprawy instrumentalnej wieczornych śpiewów, Michał G. był naszym prawdziwym bardem, przypominał zapomniane, ważne pieśni, Marta dostarczała bogatej informacji o każdym godnym uwagi miejscu, które odwiedziliśmy, Magda zaś dzwoniła do Warszawy, żeby dowiedzieć się o najważniejszych przedstawicieli arianizmu, gdy z braku tej wiedzy nasza dyskusja utknęła w martwym punkcie. Znajdowaliśmy się zaś wtedy w miejscowości Czarkowy, która było niegdyś głównym ośrodkiem arianizmu w Polsce.

Nie sposób wymienić wszystkich i ich wkładu. Nie można jednak zapomnieć o tym, że dzięki ofiarności i pracowitości każdego członka wyprawy wszystkie posiłki były smaczne i przygotowane na czas, miejsca po noclegu (sala wiejskich spotkań, remiza strażacka, hotel robotniczy, salki parafialne) pozostawialiśmy w stanie nieco lepszym niż były wcześniej. Są to jednak sprawy, które należą do podstawowego kanonu zachowań dobrego turysty.

Jednak aby wyjazd się udał nie wystarczy tylko zebrać grupę odpowiednich ludzi. Marta, która na polskich drogach i bezdrożach zdarła niejedną podeszwę, wiedziała jak znaleźć miejsce, które będzie ciekawe i nowe nawet dla wytrawnych turystów.

Idąc za głosem Wojtka Bellona wybrała Ponidzie. Trudno uwierzyć, że turyści tak rzadko odwiedzają ten region, bo naprawdę warto. Nie jestem w stanie opisać tutaj wszystkich atrakcji Poniidzia, wspomnę tylko te najbardziej spektakularne. Kolejka wąskotorowa, przejazd którą można sobie prywatnie zamówić i której trasa wiedzie po drewnianych pomostach przez zabagnioną, porośniętą łąkami urokliwą dolinę Nidy, Muzeum zegarów słonecznych, w którym można dowiedzieć się prawie wszystkiego o gnomonice. Rezerwat przyrody z roślinnością stepową (Ponidzie jest najbardziej nasłonecznionym regionem Polski), jaskinie wypłukane w gipsowej skale z podziemnymi rzekami, wspaniałe zabytki kultury chrześcijańskiej – kościół w Chotlu fundowany przez Długosza, kolegiata w Wiślicy, w Pińczowie klasztor Franciszkanów ze wspaniałym dziedzińcem i widokiem na wzgórze z kapliczką św. Anny. Wszystko zbudowane z kamienia pińczowskiego, który zaraz po wydobyciu daje się kształtować jak masło, a później twardnieje w deszczu i na wietrze.

Muszę jeszcze wspomnieć o niezwyklej atmosferze całej krainy. Mało kto wie, że wiślanie przyjęli chrześcijań-

stwo prawie sto lat wcześniej niż państwo Mieszka I. Jako że Poniżnia nie dopadła żadna z wielkich rewolucji a cza-



„Bosko w Busku” – uroczysta sesja podsumowująca perypatetyczny uniwersytet

sy świetności skończyły się tu w XVII wieku, ludzie wydają się żyć tradycją sprzed setek lat. Nie chcę tu powiedzieć, że nie ma telefonów, samochodów i innych zdobyczy cy-

wilizacji. Nie chodzi mi tylko o to, że na polach widać rolników, którzy pracują jak ci z obrazów Chełmońskiego. To co przetrwało, to prastare umiłowanie do ziemi i dbałość o nią. Obserwując starannie zaorane pola i schludność nie najbogatszych przecież wiosek, można zrozumieć, w jaki sposób człowiek miał sobie czynić ziemię poddaną.

Mam nadzieję, że tym opisem zachęciłem szanownych czytelników do podejmowania poszukiwań, zarówno społecznych jak i turystycznych, a do odwiedzenia Poniżnia niech lepiej zachęcą słowa Nutki z Poniżnia, Bellońskiego hymnu naszej wyprawy:

*Ponidzie wiosenne, Ponidzie leniwe,
prężysz się jak do słońca kot,
rozciągnięte na tych polach,
lichych lasach, pstrych łożynach,
skałkach słońcem rozognionych,
Nidą w łąkach roziskrzoną,
Na Ponidziu wiosna trwa!*

Andrzej Tarłowski, Źródło I, Warszawa

II Ogólnopolski Kongres Ruchów i Stowarzyszeń Katolickich

Ogólnopolska Rada Ruchów Katolickich już po raz drugi organizuje Kongres Ruchów i Stowarzyszeń Katolickich. Odbędzie się w on dniach 24 – 25 listopada 2000 roku w Warszawie. Program pierwszego dnia Kongresu obejmuje wystąpienia kardynała M. Vłka, przewodniczącego Konferencji Episkopatów Europy, o. A. Schulza, przewodniczącego Ogólnopolskiej Rady Ruchów Katolickich, a ponadto konferencje poświęcone następującym tematom: „Współpraca pomiędzy świeckimi a duchownymi w Kościele”, „Katolickie organizacje pozarządowe”, „Ewangelizacja w życiu społecznym”. Uczestnikami pierwszego dnia Kongresu będą delegaci z ruchów, stowarzyszeń lub rad diecezjalnych. WŻCh będą reprezentować Ewa Poleszak, Ewa Dybowska i Edward Dziedzic

Natomiast drugiego dnia Kongresu (25 listopada) w różnych miejscach Warszawy w godzinach od 10.00 do 17.00 odbędą się kongresy tematyczne. Poniżej podajemy tematy tych spotkań:

- Ewangelizacja w świecie i w Kościele – kościół św. Marcina
- Formacja, jej priorytety na początek trzeciego tysiąclecia – kościół seminaryjny
- Rola młodzieży w życiu społecznym i Kościele – kościół św. Anny
- Rodzina chrześcijańska – kościół MB Jasnogórskiej
- Kultura i tradycja chrześcijańska (w tym rola mediów) – kościół św. Józefa (Wizytki)
- Miejsce ruchów i stowarzyszeń katolickich w jednoczącej się Europie – kościół św. Jacka
- Rozwój zaangażowania społecznego i publicznego katolików – kościół św. Andrzeja Boboli
- Rolnictwo – kościół św. Ducha
- Ubodzy – kościół Nawiedzenia NMP
- Współpraca ruchów i stowarzyszeń katolickich na poziomie diecezji i parafii – kościół MB Łaskawej

WŻCh odpowiada za organizację spotkania poświęconego rozwojowi zaangażowania społecznego i publicznego katolików.

„Kongres i prace z nim związane – czytamy w biletynie ORRK – winny z jednej strony umocnić duchowo i moralnie członków ruchów i stowarzyszeń, a z drugiej strony przyczynić się do rozeznania kierunków dalszego zaangażowania w różnych obszarach życia społecznego.”

II Kongres Ruchów i Stowarzyszeń Katolickich Wpisany został w program Obchodów Wielkiego Jubileuszu Roku 2000 jako Ogólnopolski Jubileusz Ruchów i Stowarzyszeń.

Chętnych do uczestnictwa w spotkaniach grup tematycznych w drugim dniu Kongresu prosimy o zgłaszanie się do Sekretariatu WŻCh do 15 października.

KALENDARIUM

- 16-23.07.2000** – Spotkanie w Świętej Lipce dla młodzieży formowanej w duchowości ignacjańskiej
- 30.07-06.08.2000** – Rekolekcje w Falenicy na temat Przymierza
- 06-13.08.2000** – Udział młodzieży związanej z WŻCh w ignacjańskiej pielgrzymce do Rzymu „Horyzont 2000”
- 14-20.08.2000** – Światowe Spotkanie Młodzieży w Rzymie
- 17-20.08.2000** – Seminarium w Falenicy dla odpowiedzialnych WŻCh
- 26-29.10.2000** – Spotkanie przedstawicieli europejskiej WŻCh w Falenicy
- 24-25.11.2000** – Drugi Ogólnopolski Kongres Ruchów i Stowarzyszeń Katolickich w Warszawie wprowadzający ruchy w trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa

SEMINARIUM WŻCH 2000

Tegoroczne seminarium odbędzie się w Falenicy w dniach **17-20.08.2000**. Będzie ono poświęcone refleksji nad aktualną sytuacją wspólnot znajdujących się w zaawansowanej fazie rozwoju i próbie bliższego określenia wizji takiego kształtu ich życia, apostołstwa i formacji, do którego chcielibyśmy zmierzać. Dlatego też zapraszamy na nie ich członków zainteresowanych tematem czy to z racji pełnionych funkcji, czy też pragnienia współtworzenia przyszłego rozwoju wspólnoty, do której wszyscy należymy. Liczymy na udział przedstawicieli każdej wspólnoty podstawowej o długim stażu, gdyż wnoszą oni cenne, często niepowtarzalne doświadczenia i spojrzenie.

Elżbieta Gleba

Zgłoszenia prosimy kierować do sekretariatu WŻCh w terminie do **30.07.2000**

!!! Dyżury sekretariatu odbywają się do 19.06.2000, w poniedziałki w godz. 17.30 – 19.00, tel.: **(22) 54.28.890** Po wakacjach dyżury zostaną wznowione 04.09.2000 (pierwszy poniedziałek września). Możliwy jest (także w czasie wakacji) bezpośredni kontakt telefoniczny z Przewodniczącą sekretariatu, tel. 0601 38.07.96

!!! Posiadamy własną stronę internetową: <http://www.wzch.org.pl>
i adres e-mailowy: sekretariat@wzch.org.pl

Wspólnota w Misji. Biuletyn Wspólnoty Życia Chrześcijańskiego w Polsce. Kwartalnik. Do użytku wewnętrznego. Redakcja: Małgorzata Golanowska. Skład i łamanie: Dorota Kulesza.

Adres redakcji: Wspólnota w Misji, 02-532 Warszawa, ul. Rakowiecka 61, tel.: 54.28.890, fax: 848-94-99
e-mail: sekretariat@wzch.org.pl

ISSN 1508-1346